

GŁOS



NAUCZYCIELA

ROK XIV/NR 3

ISSN 1042 3747

LATO 1999



BOLESŁAW PRUS – ALEKSANDER GŁOWACKI
1847-1912

POR AVION !



**POLSKA SZKOŁA SOBOTNIA
IM. TYSIĄCLECIA CHRZTU POLSKI**
c. G.A. Becquer 2360
1682 *Martin Coronado*
Pcia. Buenos Aires
ARGENTINA



Boże Narodzenie 1999

Z okazji Świąt Bożego Narodzenia
i Nowego 2000 Roku nauczyciele i dzieci z
Polskiej Szkoły Sobotniej im. Tysiąclecia
Chrztu Polski w Martin Coronado składają
serdeczne życzenia życząc błogosławieństwa
od Bożej Dzieciny.

Joey Harog

Branda

Rustr

julius Alex

Danar

Leonis

Ludmila Fiedorowicz

Lavinia Gawel

Anna

T. Uzarowicz

Leonis

Wanda Wygodziewicz

Prong

MKorodko

Joanna Kempshinska



GŁOS NAUCZYCIELA KWARTALNIK

WYDAWCA:

Komisja Oświatowa
Kongresu Polonii Amerykańskiej

ADRES REDAKCJI:

5631 West Waveland Ave.
Chicago, Illinois 60634
Tel. (773) 545-6522

REDAKCJA:

Helena Ziółkowska
Janina Igielska
Danuta Schneider

PRENUMERATA:

\$15.00 – osoby indywidualne
\$20.00 – organizacje, instytucje, szkoły
Czeki należy wystawiać na:
PAC Commission of Education
Cena za egzemplarz pojedynczy – \$4.00

UWAGA!

Prenumeraty i materiały ze stanów
wschodnich prosimy wysłać na adres:
JANINA IGIELSKA
104 Passaic Ave., Passaic, NJ 07055

Redakcja zastrzega sobie prawo wyko-
rzystania nadesłanych materiałów we-
dług własnego uznania.

OPRACOWANIE GRAFICZNE I SKŁAD:

Katarzyna Biela i Robert Nowak
EUROGRAF DESIGN
tel. (773) 777-6062

W NUMERZE:

Refleksje Redakcyjne – H. Ziółkowska	4
Listy do Redakcji	6
WIADOMOŚCI KULTURALNO OŚWIATOWE	
STANY ZACHODNIE	8
Kolonie w San Bernardino – J. Narębska	8
METROPOLIA CHICAGOWSKA	10
25-lecie Polskiej Szkoły im. Św. Maksymiliana M. Kolbe – J. Zabłocka	10
KRONIKA ŻĄŁOBNA	12
Jadwiga Miska – H. Ziółkowska	12
MATERIAŁY FAKTOGRAFICZNE	13
Bolesław Prus – D. Schneider	13
Wspomnienia o Bolesławie Prusie z Księgi Pamiątek – G. Doliński	18
Prus-Felietonista – M. Gawalewicz	20
Bibliografia	21
WYPISY	22
Pieśń świata – B. Prus	22
W górach – B. Prus	23
Milknące głosy – B. Prus	28
Kamizelka – B. Prus	32
Z legend dawnego Egiptu – B. Prus	38
Ogród Saski – B. Prus	41
Modlitwa Psujaczka (fragment powieści "Faraon") – B. Prus	46
Bolesław Prus – Kroniki	50
– Na progu dwudziestego wieku	50
– Kwestia żydowska	55
Inna zabawa z "Lalką" – H. Markiewicz	58
Warszawskie Ekwipáže (fragment powieści "Lalka") – B. Prus	59
MATERIAŁY DYSKUSYJNE	60
Nauka geografii w Polskich Szkołach Sobotnich – A. Nawara	60
WIADOMOŚCI WYDAWNICZE	65
Ala, As i my	
Elementarz M. Falskiego – R. Pawłowski	65
CENNIK ZRZESZENIA	68





Obecny numer GŁOSU NAUCZYCIELA kontynuuje serię monograficzną poświęconą sławnym Polakom. Tym razem przedstawiamy sylwetkę i twórczość Bolesława Prusa – pisarza, dziennikarza, działacza społecznego, autora licznych opowiadań, nowel i powieści oraz kronikarza Warszawy schyłku XIX i początku XX wieku.

Oprócz życiorysu pisarza zamieszczamy obszernie wypisy z jego twórczości, m.in. kilka krótszych utworów w całości, fragmenty Kronik oraz wyjątek z powieści "Faraon". Wyjątki z Kronik zostały wybrane ze względu na zdumiewającą aktualność problemów poruszanych przez Prusa sto lat temu i wciąż zaprzęających nasze umysły dzisiaj. Mamy nadzieję, że wypisy przydadzą się nie tylko nauczycielom i uczniom, ale zachęcą wielu Czytelników do bliższego zapoznania się z twórczością Prusa.

JUBILEUSZE

Organizacja harcerska w Chicago z rozmachem i młodzieńczą werwą obchodziła 50-lecie swej pracy. Przez dwa dni, 13 i 14 listopada, rodzina harcerska świętowała swój złoty jubileusz: sobotni kominek, niedzielna msza święta i uroczysty bankiet z udziałem tysięcy uczestników na długo zostaną w naszej pamięci.

Związek Podhalań w Ameryce Północnej z główną siedzibą w Chicago uczcił 70-lecie swego istnienia uroczystym bankietem w sobotę 13 listopada i mszą świętą w niedzielę 14 listopada.

Srebrny Jubileusz, 25-lecie pracy oświatowej obchodzą szkoły: św. M. M. Kolbego i Emilii Plater. Wszystkim jubilatom Redakcja GŁOSU NAUCZYCIELA składa serdeczne gratulacje i życzenia dalszych sukcesów w pracy.

REWIZJA PROGRAMÓW GEOGRAFII

Alicja Nawara, nauczycielka szkoły im. św. M. M. Kolbego w Chicago, wystąpiła z propozycją zmian w programie nauczania geografii w szkole podstawowej. Artykuł dyskusyjny oraz proponowany program zamieszczamy w całości w dziale Materiały Dyskusyjne. Zachęcamy do nadsyłania uwag na adres GŁOSU. Wszystkie uwagi i sugestie prześlemy Autorce.

ELEMENTARZ FALSKIEGO:

Tak czy nie?

Kilka pokoleń Polaków w kraju i za granicą uczyło się pisać i czytać korzystając z **Elementarza** Falskiego. W ciągu ostatnich lat na rynku wydawniczym w Polsce ukazało się wiele podręczników usiłujących zastąpić Falskiego. Niektóre z nich, ze zmiennym szczęściem i skutkami, były i są używane w szkołach polonijnych. Bardzo często, po próbach z innymi podręcznikami, nauczyciele wracają do **Elementarza** Falskiego. Większość doświadczonych nauczycieli klas pierwszych w szkołach, przynajmniej w Chicago, uważa, że **Elementarz** znakomicie spełnia swe zadanie w naszych warunkach. W tym roku wydawca postanowił nie wznawiać **Elementarza** na użytek szkół w Polsce. Wydawca zgodził się na następne wydanie pod warunkiem, że cały nakład, pięć tysięcy egzemplarzy, zostanie zakupiony przez Zrzeszenie Nauczycieli Polskich w Ameryce z siedzibą w Chicago, które by **Elementarz** rozprowadzało. I tu wylania się zasadnicze pytanie: ile szkół spoza regionu Chicago jest zainteresowanych dalszym używaniem **Elementarza** Falskiego? W grę wchodzi nie tylko jednorazowy

duży wydatek, ale również sprawa składowania całego nakładu. Wszelkie uwagi na ten temat można kierować bezpośrednio do Zrzeszenia, adres podany w Cenniku, lub do Redakcji GŁOSU. Chętnie zamieścimy opinie nauczycieli z różnych środowisk oświatowych.

Ciekawym zbiegiem okoliczności interesujący artykuł o **Elementarzu** Falskiego ukazał się w "Gazecie Wyborczej" z dnia 9 października 1999, który w całości zamieszczamy.

PRZYPOMNIENIE O LUBELSKIEJ "ROCIĘ"

"Rota", wydawana w Lublinie przez Fundację Pomocy Szkołom Polskim na Wschodzie im. Tadeusza Goniewicza, jest kwartalnikiem służącym oświacie polonijnej, kolportowanym do 53 krajów. "Rota" zamieszcza materiały z historii Polski, literatury, wiersze, scenariusze do wykorzystania podczas szkolnych imprez, zawsze bogaty dział wiadomości od Czytelników, głównie ze Wschodu, wywiady z wybitnymi Polakami. Jest bogato ilustrowana rysunkami i zdjęciami. Autorami artykułów są utytułowani pracownicy nauki. Redaktorką naczelną "Roty" jest p. Barbara Jedynak. Prenumerata roczna wynosi \$20.00.

Adres: Kwartalnik "Rota",
ul. Jana Sawy 5,
20-632 Lublin, Polska.

PRENUMERATA I NUMERACJA GŁOSU NAUCZYCIELA

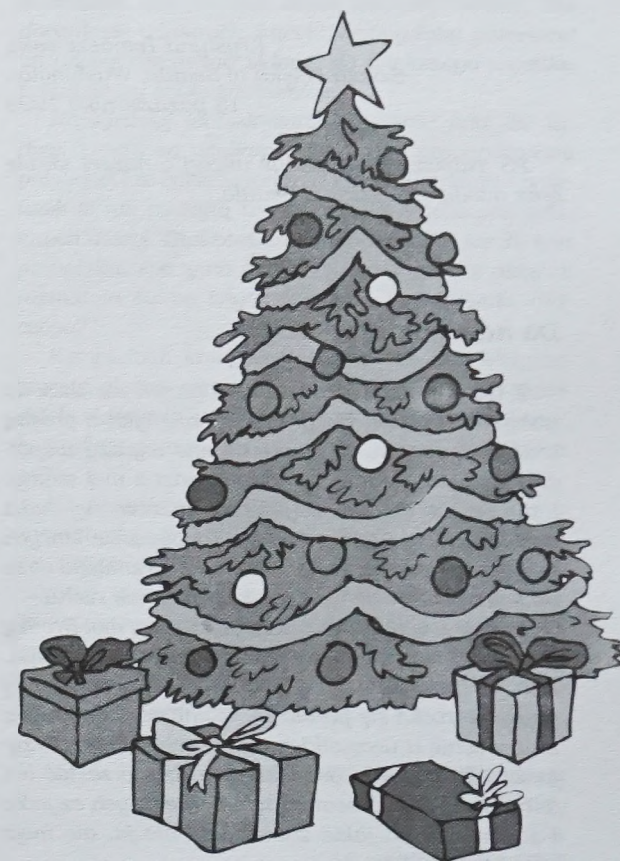
Ze względu na pytania Czytelników w sprawie prenumeraty i numeracji naszego kwartalnika, wyjaśniamy: opłata za prenumeratę roczną wynosi \$15.00 dla osób indywidualnych, \$20.0 dla instytucji i organizacji. Prenumerata pokrywa się z rokiem kalendarzowym, płacimy za rok, który się zaczyna w styczniu, a kończy w grudniu. Opłaty od września do czerwca, pokrywane się z rokiem szkolnym, nie wchodzi w rachubę ze względów praktycznych.

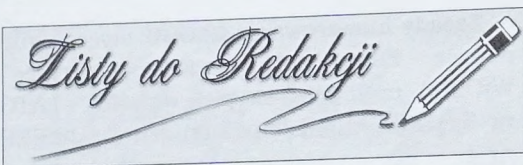
Zasady numerowania GŁOSU: styczeń-luty-marzec – ZIMA, nr 1; kwiecień-maj-czerwiec – WIOSNA, nr 2; lipiec-sierpień-wrzesień – LATO, nr 3; październik-listopad-grudzień – JESIEŃ, nr 4.

Wziąwszy pod uwagę niemal notoryczne opóźnienia w wydawaniu GŁOSU, możliwość otrzymania życzeń Bożonarodzeniowych w numerze letnim jest niemal pewna!

Wyjaśniliśmy te "zawirowania" wydawnicze, przechodzę do rzeczy i składam serdeczne życzenia najmilszych, rodzinnych, błogosławionych Świąt Bożego Narodzenia oraz zdrowego, pomyślnego Nowego Roku wszystkim Czytelnikom, Sympatykom i Sponsorom GŁOSU NAUCZYCIELA od całego Zespołu Redakcyjnego.

Helena Ziółkowska
1 grudnia 1999





Droga Pani Heleno!

Wiele radości sprawiła mi Pani tą bogatą przesyłką w sierpniu, gdyż miałam czas przed rozpoczęciem roku szkolnego poczytać i dowiedzieć się co w ogóle się dzieje w nauczaniu języka polskiego w Ameryce. Wszystkie materiały zawarte w czasopiśmie GŁOS NAUCZYCIELA postaram się wykorzystać wspólnie z nauczycielkami na lekcjach, wystęпах artystycznych czy nawet jako lekturę.

Dzisiaj otrzymałam, ja osobiście oraz szkoła nowy egzemplarz GŁOSU, więc palę się ze wstydu, że tak przeleciał czas a ja nawet słowem nie podziękowałam Pani za ten piękny gest. Czynię więc to teraz pozdrawiając Panią serdecznie - wdzięczna

Krystyna Tomaszewska
Szkoła Polska w Seattle, Washington
13 października 1999

PS. Napiszę Pani kiedyś więcej o naszej szkole oraz młodej emigracji w Seattle.

Do naszych przyjaciół!

Z wielkim zażenowaniem zwracam się dziś do wszystkich moich Przyjaciół i Znajomych z prośbą o wybaczenie mi, że ich serdeczne wyrazy współczucia zostały dotąd bez odpowiedzi z mej strony. Stało się tak dlatego, że już po pogrzebie mej Jadzi zachorowałam i to bardzo ciężko: otwarcie starych pęknięć w dolnej części kręgosłupa, co zmusiło mnie do leżenia bez możliwości jakiegokolwiek ruchu.

Proszę więc bardzo wszystkich Was, moi Drodzy o wybaczenie mego niewdzięcznego zachowania. Dzisiaj jeszcze jestem chory, ale mogę już spokojniej myśleć i trochę się poruszać. Z nadzieją, że znajduję zrozumienie u wszystkich moich serdecznych Przyjaciół i Znajomych, ośmielam się dziś przestać ten list z podziękowaniem za tyle serdecznych czynów i zapewnień na jakie zastąpiłam nie ja, ale moja ukochana Jadzia.

Dziękuję szczególnie Księdzu Proboszczowi za gorące modły i postugę kapłańską, Siostrze Marianie i naszym bliższym i dalszym Przyjaciółom za udział w ostatniej postudze za moją ukochaną Żonę, za udział w modlitwach i zamówienie Mszy Świętych na Jej intencję. Doceniona została długoletnia praca harcerska mojej Żony jako Harcmistrzynie przez najmłodsze harcerki i harcerzy pod kierownictwem druhny Eli.

Gorące podziękowania składam tym wszystkim Organizacjom i Przyjaciółom, którzy nadesłali piękne bukiety kwiatów w ostatniej postudze. Dziękuję tym Najbliższym, którzy nieśli prochy mej Jadzi do grobu. Wreszcie gorące podziękowania składam tym Paniom i Panom, którzy pod kierownictwem Pani Geni przygotowali stypę pogrzebową. Modłę się do Pana, by wszystkim Przyjaciółom mej zmarłej Żony wynagrodził trud i poświęcenie długim życiem i byśmy się kiedyś spotkali w niebie i śpiewali razem z Jadzią Jej ulubioną pieśń "Królowo Polski, Jasnogórska Pani".

Wdzięczny Jan Kanty Miska
Falls Church, Virginia
16 czerwca 1999

Szanowna Redakcjo!

Państwa adres znalazłam w "Monitorze Polonijnym", bowiem nigdy nie miałam okazji czytać waszego pisma. Do napisania tego listu skłoniły mnie obchody Miesiąca Dziedzictwa Polskiego, do czego, jak wiem, włączyły się także polskie szkoły.

List ten proszę potraktować jako głos rodziców w sprawie wychowania dzieci w duchu polskości, przekazywania i utrwalania polskich tradycji i przede wszystkim postugiwania się językiem polskim w życiu codziennym. Nie zawsze jest to łatwe, a szczególnie na emigracji.

Tak się składa, że od początku mojego pobytu w USA pracuję w środowisku polonijnym i poznałam wiele opinii na temat posyłania dzieci do polskich szkół, nauki języka polskiego i religii po polsku. Współpracując z miesięcznikiem "Ja i Ty" napisałam na ten temat felieton, który jednak, z powodu nagłego zamknięcia pisma, nie ukazał się.

Chciałabym podzielić się swoimi poglądami i wyrażę nadzieję, że pisząc do Państwa trafiłam do właściwych osób. Pozwalam sobie przestać mój tekst,

który proszę potraktować, jak już wspomniałam, jako wypowiedź rodziców. Sama jestem mamą 7-letka, ucznia Polskiej Szkoły w Lombard, i jestem bardzo zadowolona, że mój syn ma możliwość nauki w tej właśnie szkole. A oto moje przemyślenia:

Coś z Reja

Kiedy po raz pierwszy po kilku latach emigracji pojechałam do Polski z moim czteroletnim wówczas synem, bardzo często znajomi, a nawet krewni zadawali mi pytanie:

- Czy on mówi po polsku?

- Wyłącznie - odpowiadałam, a potem sama pytałam: - A dlaczego miałby nie mówić?

- No bo przecież mieszkacie w Ameryce...

- I co z tego?

- No, tam się mówi po angielsku.

- Ale my jesteśmy polską rodziną, w domu rozmawiamy normalnie, po polsku.

- No tak, ale...

Pytający byli zdziwieni moją odpowiedzią, a ja byłam zdziwiona tego rodzaju pytaniami. Być może uznali mnie za osobę zacofaną lub co gorsza za kogoś, kto po prostu nie jest w stanie opanować obcego języka, a tym samym czyni krzywdę własnemu dziecku. Jeśli jednak takie poglądy panują w ojczyźnie, to co się dzieje na obczyźnie?

Wielokrotnie spotkałam się z opinią, że dzieciom język polski tylko utrudnia naukę w szkole amerykańskiej, że jest im w ogóle niepotrzebny, że są w końcu Amerykanami(!) bo urodziły się w Ameryce lub w tej Ameryce jest ich przyszłość, bo tak wybrali dla nich rodzice. Przeżyłam burzliwe dyskusje na temat celowości i sensu posyłania dziecka do polskiej szkoły i jeszcze burzliwsze na temat nauki religii po polsku. Argumenty używane przez moich rozmówców wygłaszane były stanowczo i z lekką ironią dla mojego oporu w kwestii nauki polskiego. W tej niezwykłej pewności siebie dostrzegałam jednak jakby chęć zagłuszenia... wyrzutów sumienia, ukrycia kompleksów i odrzucenia z góry wszelkich argumentów, których z kolei ja mogłam użyć.

Kompleksy to chyba jeden z główniejszych powodów, dla których rodzice chętnie przystają na porozumiewanie się z dziećmi w obcym dla nich (rodziców) języku. Bardzo często sami nie znamy angielskiego, lub znamy go słabo, ale nie przyznajemy się do tego za nic w świecie. Wtrącamy więc obce słowa do rozmowy, postugujemy się potocznymi wyrażeniami, "zapominamy" polskich nazw i być może czujemy się nieco lepsi od tych, którzy tego jeszcze nie opanowali. To, że nasze dzieci w sposób natu-

ralny przyswajają sobie obcą mowę i z czasem angielski staje się ich pierwszym językiem jest dla nas znakomitą okazją do podciągnięcia się w nauce. Czyli uczymy się od własnych dzieci, nie zważając na to, że dzieci mogłyby się wiele nauczyć od nas. Im polski jest niepotrzebny, nam angielski niezbędny: do załatwiania spraw w urzędach, do znalezienia lepszej pracy itp. Jedną z moich znajomych stwierdziła wprost, że nie ma zamiaru się "cofać" i dlatego rozmawia z synem wyłącznie po angielsku. To, że małe dziecko śmieje się z niej za każdym razem, gdy robi błąd, zupełnie jej nie przeszkadza.

Czasami rodzice tłumaczą, że gdy jest więcej dzieci w domu, to między sobą nie chcą rozmawiać po polsku. Efekt jest taki, że dziecko najstarsze coś tam jeszcze w mowie rodziców powie, najmłodsze już nie. Mimo to posyłają dzieciaki do polskich szkół, bo tak ... wypada. I narzekają: że pani za dużo zadaje, że to dla dzieci za trudne, że nie mogą niektórych wyrazów wymówić, nie wspominając już o czytaniu czy pisaniu. Może, kochani rodzice, nie docenicie własnych dzieci? Może gdyby poświęcić im więcej czasu lub skłonić do większego wysiłku poradziłyby sobie znakomicie?

Najbardziej jednak zadziwia mnie fakt, że ludzie, którzy są wielkimi patriotami, propagatorami polskości i w ogóle wzorem do naśladowania - poważnie nie potrafią w tym duchu wychować własnych dzieci. Owszem, w domu obchodzi się święta po polsku, spożywa polskie potrawy, ale z dziećmi rozmawia się po angielsku, bo... No, właśnie, dlaczego?

Kompleksy, kompleksy, kompleksy ... Wstydzimy się głośno rozmawiać po polsku w amerykańskich sklepach, udajemy kogoś, kim nie jesteśmy, bo wydaje nam się, że wtedy będziemy lepsi. Od kogo?

Na szczęście nie wszyscy tak myślą i w gronie znajomych mam osoby, które dbają o polskości swoich dzieci, pilnują nauki polskiego i uczą polskich modlitw. I zwracają uwagę, gdy dzieciaki, zajęte zabawą rozmawiają po angielsku. Tak jak jeden mój znajomy, którego to bardzo denerwowało, więc w ramach akcji pedagogiczno-patriotycznej krzyknął do dzieciarni: Speak Polish!

Łączę serdeczne pozdrowienia
Magdalena Cudny
Hillside, Illinois
16 października 1999

WIADOMOŚCI

KULTURALNO-OŚWIATOWE

STANY ZACHODNIE

OD REDAKCJI: *Od naszej wiernej Czytelniczki p. Jadwigi Narębskiej, otrzymaliśmy tekst zawierający ciekawe spostrzeżenia z pobytu w Polsce oraz sprawozdania z trzydziestych szóstych kolonii organizowanych przez kierownictwo Polskiej Szkoły w Los Angeles, w Big Pines, w górach San Bernardino, w Kalifornii. Całość drukujemy z odrobiną zazdrości, że nas tam nie było, gratulując równocześnie wspaniałego pomysłu i wytrwałości w jego kontynuacji.*

Byłam w ojczyźnie. Oczarował mnie maj w pełnej krasie zieleni i kwiecia. Niestety klimat był mniej łaskawy i dobrze to przechorowałam. Odczucia patriotyczne związane ze świętem majowym ogromne. Miałam możliwość uczestniczyć w nabożeństwie za ojczyznę odprawionym w kościele św. Krzyża przez biskupa polowego z udziałem Chóru Wojska Polskiego. Oglądałam z trybuny wspaniałą paradę wojskową na Placu Piłsudskiego. Wycisnęłam parę łez recytując mój wiersz "Wrzesień" i specjalnie wzruszający dla warszawskiej publiczności wiersz o powstaniu, co miało miejsce w Muzeum Sztuki Jana Pawła II, w Galerii Porczyńskich.

Święto Majowe w Polsce obchodzone jest obecnie trzykrotnie. Pierwszego Maja - święto robotnika, drugiego - dzień Polonii, a więc święto nasze, a trzeciego - wiadomo - rocznica Konstytucji Trzeciego Maja. Miałam ogromne szczęście przeżyć wraz z całą Polską siódmą pielgrzymkę Ojca Świętego do ojczyzny, który swoją obecnością odmienia oblicze całego narodu i tej ziemi, naszej ziemi. Moje osobiste osiągnięcie to wydanie wierszy, które wały się po szufladach.

Po dwumiesięcznym pobycie zdążyłam powrócić na kolonie, bo obiecałam mojemu wnukowi, siedmioletniemu Jasiowi Lisowskiemu, że z babcią pojedzie na pierwsze jego kolonie. Pol-

ska Macierz Szkolna zorganizowała je po raz trzydziesty szósty, w dniach od czwartego do jedenastego lipca 1999 w Big Pines, w górach San Bernardino. Wypadły wspaniale. Wielka to zasługa kierownictwa polskiej szkoły z panią Tuszyńską na czele, która wkładając wiele pracy administracyjnej, swoją obecnością na miejscu dodawała autorytetu, mając dyskretną pieczę nad całością. Dzieci była rekordowa setka, a opiekunów młodszych i starszych dwadzieścia. Uczestnicy zjechali również z San Diego, Yorba Linda, także z Las Vegas, przywiezieni przez państwa Krowickich, którzy tak wspaniale zorganizowali Polonię na swoim terenie. Ich jedy-naczka Gosia uczęszczała kiedyś do polskiej szkoły w Los Angeles i świetnie się czuje wśród naszej młodzieży.

Pokaźna grupa dwudziestu zjechała z Arizony. Wśród rodziców była bardzo miła kierowniczką polskiej szkoły w Phoenix pani Halina Kosińska, której mąż jest prezesem Polsko-Amerykańskiego Kongresu na Arizonę. Tak więc młodzież nasza miała okazję poszerzyć znajomości, poznać się i polubić.

Wspaniałą kierowniczką kolonii była pani Henryka Łazarz, której indywidualną troskę o każde dziecko, wrodzony takt, talent organizacyjny, ogromną subtelność i ciepły szczerzy uśmiech odczuliśmy wszyscy i szczerze jej dziękujemy.

Mieliśmy, jak głosiła obozowa piosenka, śpiewana na melodię starej legionowej: "Raduje się serce, raduje się dusza", anioła z nieba, co to obchodząc kabiny "smarował gdzie trzeba" w osobie pani Haliny Dykier, która z niezwykłą skromnością i pracowitością, znaną nam z jej działania w polskiej szkole, pomagała bardzo wydajnie wszystkim, docierając do każdego z lekami, kremami i z łagodnym uśmiechem. Syn jej Tomek, wykazując wiele cech mamy, był bardzo pomocny w średniej kabinie chłopców.

Kierownictwo męskie to Marek Tuszyński, który zrobił nam doskonałe fotografie. Najserdeczniejsze gratulacje dla Dorotki i Marka, którzy swoje szczęście znaleźli na koloniach, a teraz zostali po raz drugi rodzicami. Krysi przybył braciszek, a całej rodzinie jeszcze jeden Tuszyński. Pod nieobecność Marka funkcje kierownicze sprawował Paweł Matuszyński. Robił to do-



Uczestnicy kolonii letnich w Kalifornii w lipcu 1999.

skonał! Gdyby wybrał karierę wojskową, na pewno by się wybił. Trójka rodzeństwa Matyszewskich jest miła i pomocna. To samo można rzec o Łukaszu i Darku Niedojadło, którzy wzrastali przecież na naszych oczach. Cezary Łucki pilnował bezpieczeństwa na basenie i rozweselał dzieci przy ognisku, mając pogodne usposobienie.

Specjalne podziękowanie Joasi Bartłomowicz i jej siostrze, która dojechała później; są one miło kolonijnie zaangażowane i lubią śpiewać. Również ciepłe słowa pod adresem Zosi i Joasi Ślusarz, które ukończyły polską szkołę. Była z nami także trójka rodzeństwa Jaroszewicz oraz trzech braci Król i nowy nabytek Piotr Ordżyński. Nie sposób wymienić każdego.

Wszystkim młodym instruktorom i pomocnikom należy się wielkie podziękowanie za ich trud, entuzjazm, poczucie obowiązku. Chciałabym wspomnieć dyżurnych w jadalni, podziękować im za ochoczą, ochotniczą pracę, a już szczególnie wyróżnić Iwonkę Pawlikowską i Oskarkę Plechawskiego.

Jedzenie było smaczne, zdrowe i obfite, woda w basenie czysta i ciepła. Spacerowanie nad jeziorem i dalsze, przejażdżki łódkami, strzelanie z karabinów i łuków, siatkówka i inne gry sportowe, malowanie szyszek, dekoracje kabin i śpiew wypełniały program dnia, dwukrotnie uwieńczony ochoczą, głośnie zabawą. Nawet mój Jasio zliczył, że tańczył z jedenastoma panienkami, z których najważniejsza była sześcioletnia Wiktoria Łazarz, córka pani Heni, która również de-

biutowała na koloniach. Było i kasyno gry i rozśpiewane ogniska.

Na pożegnanie przybyło dużo rodziców. Złożyliśmy hołd modlitwą i skupieniem tym, co odeszli i byli bardzo związani z koloniami i polską młodzieżą. Aż trudno uwierzyć że w tym roku mija 10 lat bez pana Nowickiego. Zaśpiewaliśmy mu stary hymn marynarski, bo służył Polsce na "Błyskawicy". Obok Krystyny Zagórskiej, Hani Bieniasz, Agaty Butnerowicz, Marcina Frackiewicza, Olka Serwackiego, którego siostra Basia przywiozła na kolonie córkę i syna, doszła tragicznie zmarła nie-

dawno Veronika Sandman, tańcząca w zespole "Podhale".

Trochę nas postraszył deszcz, ale wyszliśmy obronnie. W tej leśnej katedrze, gdzie sosny są filarami, a błękit nieba najwspanialszym sklepieniem, piękne nabożeństwo odprawił drogi nam ksiądz Andrzej Gallant; wygłosił on homilię trafiającą do dzieci i został z nami na ognisku. Serdeczne Bóg zapłać. Przywiozł go dr Olgierd Klejnot, który dodatkowo uświetnił modły śpiewem responsoryjnego psalmu. Dzieci wraz z rodzicami śpiewały "Liczę na Ciebie Ojciec", wierząc, że głosy nasze docierają do Stwórcy, a końcowe "Boże coś Polskę" złączyło nas z daleką, ale sercu najbliższą ojczyzną.

Ognisko zakończono tradycyjną pożegnalną pieśnią "Upływa szybko życie" - ile w tym prawdy, która do dzieci szczęśliwie jeszcze nie dociera. Ogromny krąg wokół ognia z modlitwą i śpiewem "Idzie noc", zjednoczył nas w wielką polską rodzinę żyjącą daleko od ojczyzny. Dzieci domagały się w przyszłym roku dwóch tygodni - kilkoro podeszło do mnie, aby ich już zapisać - lista wciąż otwarta!

Polskie kolonie zapoczątkowane w 1961 roku przez pana Zbigniewa Kowalskiego, niestrudzonego dyrektora radia, potem prowadzone wiele, wiele lat przez Tadeusza Nowickiego, kontynuowane z największą troską przez kierownictwo polskiej szkoły w Los Angeles, to piękna tradycja. Oby trwała!

Jadwiga Narębska - Los Angeles
uczestniczka wielu kolonii, lipiec 1999

WIADOMOŚCI

KULTURALNO-OŚWIATOWE

METROPOLIA CHICAGOWSKA

25-LECIE POLSKIEJ SZKOŁY IM. ŚW. MAKSYMILIANA M. KOLBE

PARAFIA ŚW. KONSTANCJI
5841 W. STRONG AVENUE, CHICAGO, ILLINOIS 60630

W październiku 1999 roku Polska Szkoła św. Maksymiliana Marii Kolbe, działająca przy parafii św. Konstancji w Chicago, obchodziła 25-lecie istnienia. Szkoła powstała w listopadzie 1974 roku z inicjatywy ówczesnego proboszcza, ks. Marcina Borowczyka i pierwszego prezesa szkoły pana Romana Rudzińskiego. Kierowniczką została pani mgr Halina Serafin. Naukę zaczęło 47 uczniów. Grupy polskojęzyczne uczyły panie: Halina Serafin i Barbara Mrozińska. Edukacją dwóch grup anglojęzycznych zajęły się siostry Felicjanki – Mary Ewald i Mary Immaculata Kalańska.

Skład Zarządu Koła Rodzicielskiego był następujący: prezes – Roman Rudziński, wiceprezesa – Virginia Czarnecka, skarbniczka – Estelle Gąsowska, sekretarka – Felicja Rudzińska.

W drugim roku do szkoły uczęszczało już 80 uczniów. Wiceprezesem został Marian Suszko, sekretarzem finansowym – Edward Stokłosa. Przy szkole powstały gromady zuchów, drużyny harczerzy i harcerek polskich.

W szkole pracowali następujący kierownicy: Halina Serafin, Barbara Mrozińska, M. Petryka, Emanuel Ptaszny, Aleksandra Wawrzak, Helena Ziółkowska, Zenobia Rykała, Celina Bartosz i od roku 1993 – Jolanta Zabłocka do chwili obecnej.

Od samego początku rodzice spełniali w szkole bardzo ważną rolę, starając się o szkołę od strony administracyjnej i finansowej. Funkcje prezesa Zarządu Koła Rodzicielskiego pełnili kolejno: Roman Rudziński – 1974 do 1980; Stanisław Kalinowski – 1980 do 1983; Roman Rudziński – 1983 do 1985 oraz Jan Kula od 1985 do chwili obecnej. Skład Zarządu Koła Rodziców

od roku 1985-86 do chwili obecnej: Prezes – Jan Kula, wiceprezes – Emil Sroka, Henryk Dziegielewski, Aleksander Kopeć, skarbnik – Władysław Modzelewski, sekretarka – Anna Borzęcka.

Rozkład zajęć szkolnych rozrastał się w miarę przybywania uczniów. W roku 1974/75 zajęcia odbywały się w soboty w czterech grupach od 10 rano do 3 po południu. Dwadzieścia lat później, w roku szkolnym 1994/95 wprowadzono dodatkowe zajęcia w piątek wieczorem ze względu na niewystarczającą liczbę sal szkolnych. W roku szkolnym 1999/2000 zajęcia dla uczniów od klasy V do VIII oraz trzech klas gimnazjalnych odbywają się w piątki od godziny 5:15 do 8:15 wieczorem.

W soboty lekcje odbywają się na dwie zmiany: od 10:30 do 12:40 oraz od 1:00 do 3:10 po południu. Czynne jest przedszkole i klasy od I do VIII.

W dzielnicy wokół kościoła św. Konstancji przybywało polskich rodzin, rosła liczba uczniów w szkole, powiększało się grono pedagogiczne. Dla przykładu w roku 1980 szkoła liczyła 200 uczniów, w 1985 było 315 uczniów i 18 oddziałów, w 1994 – 810 uczniów i 13 nauczycieli, obecnie mamy 850 uczniów, w 36 oddziałach uczy 17 nauczycieli. Warunki lokalowe nie pozwalają na zwiększenie liczebności uczniów.

W 1985 roku rozpoczęła naukę I klasa gimnazjalna. W 1988 3-letnie gimnazjum ukończyło troje uczniów: Barbara Kula, Jerzy Nagaj, Joanna Szatkowska – pierwsi absolwenci.

Co roku rośnie liczba absolwentów szkoły podstawowej i gimnazjum. W ubiegłym roku szkolnym 1998-1999 gimnazjum ukończyło 41

uczniów, klasę 8 ukończyło 87. Od dnia 22 marca 1988 roku uczniowie naszej szkoły mają ubezpieczenie w Związku Narodowym Polskim przy grupie 1474 – dzięki współpracy byłej wiceprezeski Związku Narodowego Polskiego pani Heleny Szymanowicz, a obecnie pani Teresy Abick i państwa Ireny i Józefa Szczęchów.

W roku 1990 powstał przy szkole zespół taneczny. Pierwszą instruktorką była Małgorzata Schneider, akompaniатorem Mieczysław Dziś. Następnie zespół prowadziły: Magdalena Solarz, Krystyna Borys, Agnieszka Świerk, a obecnie pani Alina Szymczyk. Od wielu lat akompaniатorem jest pani Jadwiga Preger.

Współpraca z parafią św. Konstancji i księżmi w niej pracującymi zawsze się dobrze układała. Dostyc wspomnieć, że inicjatorem założenia szkoły był ks. Marcin Borowczyk. Jego następca od roku 1986 ks. Proboszcz Tomasz Rzepliela był i jest nadal bardzo przyjaźnie nastawiony do szkoły. Pod jego życzliwą opieką nasza szkoła miała i nadal ma zapewnione warunki rozwoju.

Polscy księża pracujący w parafii – ks. Tadeusz Dzieszko, ks. Bruno Chmiel, ks. Andrzej Iżyk i ks. Zdzisław Torba sprawowali i sprawują opiekę duchową nad szkołą i młodzieżą szkolną. Odprawiają szkolne msze święte i uczestniczą we wszystkich uroczystościach i imprezach szkolnych.

Oprócz nauki języka polskiego, historii Polski i geografii, młodzież uczy się o polskich tradycjach i zwyczajach. Co roku uroczyste jest obchodzony Dzień Patrona Szkoły Św. Maksymiliana Kolbe, Dzień Nauczyciela, Jasełka, konkurs na najpiękniejszy stół lub koszyk wielkanocny; młodzież, nauczyciele i rodzice biorą udział w Paradzie 3 Maja. Uczniowie biorą też udział w konkursach recytatorskich organizowanych przez Zrzeszenie Nauczycieli – często zdobywając nagrody i wyróżnienia. Szkoła uczy według programów opracowanych przez Zrzeszenie Nauczycieli Polskich w Ameryce.

Ambicją nauczycieli, Zarządu i Rodziców jest, aby nasza szkoła nadal była miejscem krzewienia patriotyzmu i kultury polskiej, a tradycjom ojczystego kraju patronował Św. Maksymilian M. Kolbe.

Jolanta Zabłocka



Gospodarze i goście. Od lewej: Emil Sroka, Jolanta Zabłocka, Henryk Dziegielewski, Teresa Abick, Irena Szczęch, Józef Szczęch, Maria Kula, Anna Borzęcka, Władysław Modzelewski.



Jubileuszowe zdjęcie. Grono Pedagogiczne, Zarząd Szkoły, przedstawiciele Konsulatu.



Uczniowie II klasy gimnazjalnej w programie poetyckim przygotowanym przez p. Janinę Stoninę.

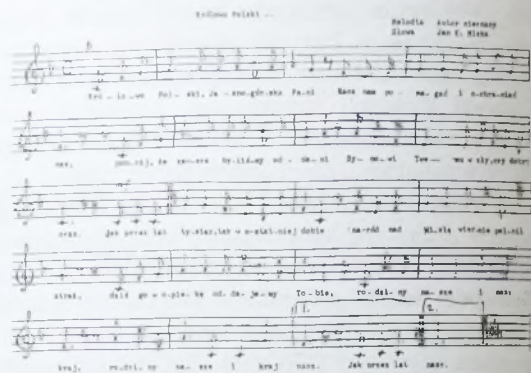


JADWIGA MISKA (1909 - 1999)

Harc mistrzyni, zasłużona instruktorka harcerska, wychowawczyni, nauczycielka, od wczesnych lat życia pracująca z młodzieżą, przedstawicielka generacji ukształtowanej przed drugą wojną światową, której hasło "życie dla Polski" przyświecało przez całe życie. Ukończyła Seminarium Nauczycielskie w Jaworowie i Wyższy Kurs Nauczycielski w Krakowie. W 1930 roku złożyła przyrzeczenie harcerskie na Wawelu. Brała aktywny udział w pracy harcerskiej: w Słomnikach koło Krakowa założyła drużynę harcerzek im. Emilii Plater; co roku urządziła obozy ze swą drużyną harcerską; brała udział w obozach szkoleniowych Komendy Harcerzek.

W 1934 roku wyszła za mąż za harcerza Jana Kantego Miskę. Państwo Miskowie przeżyli wspólnie niemal 65 lat, dzieląc zainteresowania pracą harcerską i społeczną.

W czasie drugiej wojny światowej Pani Jadwiga była żołnierzem Armii Krajowej. W 1945 roku aby przedostać się z Polski do Niemiec, gdzie po wojnie przebywał jej mąż, "podróżowała" przez dwa miesiące, zaliczając po drodze kilka aresztowań. Podczas pobytu w Niemczech w latach 1945-1949 organizowała pracę harcerską: pełniła funkcję Komendantki Harcerzek Kresowej Chorągwi w latach 1946-1948. Po przybyciu do Chicago czynnie włączyła się



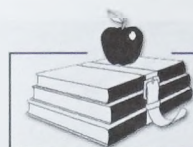
w organizowanie harcerstwa na ziemi amerykańskiej. W latach 1950-1960 pełniła różne odpowiedzialne funkcje, m.in. była Komendantką Chorągwi Harcerzek w USA w latach 1954-1956.

Nie zapomniała również o swoim nauczycielskim zawodzie: była nauczycielką i kierowniczką (1962-1966) Polskiej Szkoły Sobotniej im. Tadeusza Kościuszki w Chicago.

Zmarła po długiej i ciężkiej chorobie 11 lutego 1999 w Falls Church, Virginia. Została pochowana na cmentarzu przy polskim kościele Matki Boskiej Królowej Polski (Our Lady Queen of Poland) w Silver Spring, Maryland.

Panu Janowi Kantemu Misce i całej Rodzinie Redakcja GŁOSU NAUCZYCIELA składa serdeczne wyrazy współczucia.

Helena Ziółkowska



MATERIAŁY FAKTOGRAFICZNE

BOLESŁAW PRUS ALEKSANDER GŁOWACKI 1847 - 1912

Bolesław Prus jest pseudonimem pisarza przyjętym w roku 1872 od rodzinnego herbu Głowackich. Jako Bolesław Prus, Aleksander Głowacki zdobył sławę wybitnego pisarza drugiej połowy dziewiętnastego wieku, w literaturze polskiej.

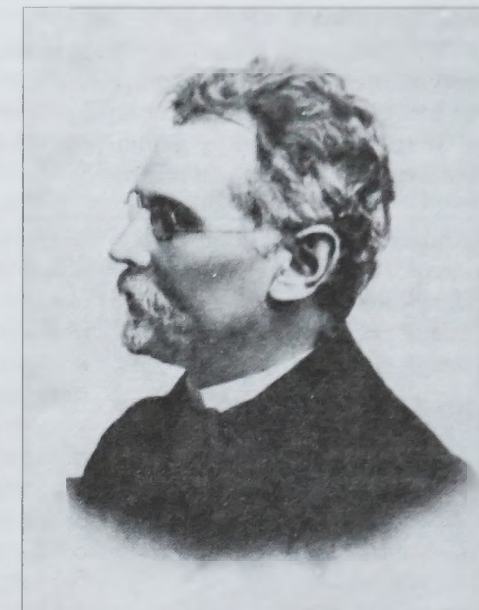
Aleksander Głowacki urodził się w Hrubieszowie. Rodzice, Apolonia z Trembińskich i Antoni Głowacki pochodzili ze zubożałej szlachty. Posiadali mały majątek na Wołyniu, ale by utrzymać rodzinę, Antoni Głowacki pracował w administracji większych majątków.

Głowaccy mieli dwóch synów Aleksandra i Leona. Po śmierci matki w 1850 roku trzyletnim Olkiem zajęła się babka chłopca, Marcjana Trembińska mieszkająca w Puławach, a później ciotka Domicela Olszewska w Lublinie. W roku 1856 zmarł Antoni Głowacki. W rok później Aleksander zaczął uczęszczać do Powiatowej Szkoły Realnej w Lublinie.

Leon, starszy o 13 lat od Aleksandra, po ukończeniu studiów w Kijowie, rozpoczął pracę jako nauczyciel historii i geografii w Siedlcach. Leon objął opiekę nad młodszym bratem i zabrał go do Siedlec. W 1861 roku bracia Głowaccy przeprowadzili się do Kielc. Leon pracował jako nauczyciel, a Aleksander rozpoczął naukę w Męskim Gimnazjum Klasycznym.



Herb rodziny Głowackich



W roku 1863 wybuchło powstanie przeciwko rosyjskiemu zaborcy. Wiadomości o rozszerzających się walkach powstańców docierają do mieszkańców miast i osiedli. Siły wroga przewyższają ochotnicze oddziały powstańców liczebnością. Płoną wsie, brak żywności, broni, brak zorganizowanego dowództwa. Szpitale zapełniają się rannymi żołnierzami. Aleksander ma wtedy 16 lat. Opuszcza szkołę, wstępuje do oddziału powstańców i bierze udział w potyczkach.

We wrześniu zostaje ranny w walkach na Podlasiu i jako jeńiec przesłany do szpitala w Siedlcach. Po kilkutygodniowym leczeniu opuścił szpital i jako niepełnoletni mógł kontynuować naukę w Kielcach, ale pod dozorem policji. W lutym aresztowano Aleksandra ponownie i przesłano go do więzienia w Lublinie gdzie przebywał wraz ze skazanymi na rozstrzelanie, powieszenie lub zesłanie na Syberię. Dzięki usilnym staraniom krewnych Aleksander zostaje z więzienia

zwolniony i oficjalnie przyjęty do VI klasy gimnazjum w Lublinie.

Smutne doświadczenia powstańcze, niespełnione idee wolności, bohaterskie zrywy zakończone upadkiem powstania i związane z tym przeżycia wpłynęły na kształtowanie się charakteru chłopca.

W gimnazjum staje się fanatykiem nauk przyrodniczo-matematycznych i wierzy, że "ważne jest tylko to, co można zważyć, policzyć..."

W roku 1866 kończy gimnazjum w Lublinie i otrzymuje następujące oceny:

Nauka Religii i Moralności	celujący
Język Polski	celujący
Język Rosyjski	dostateczny
Język Łaciński	dostateczny
Język Grecki	dostateczny
Język Francuski	dostateczny
Język Niemiecki	_____
Logika	dostateczny
Arytmetyka	celujący
Algebra	celujący
Geometria Elementarna	celujący
Solidometria	celujący
Trygonometria	celujący
Geometria Analityczna	celujący
Geografia Polityczna	dostateczny
Geografia Matematyczna	celujący
Historia Powszechna	celujący
Historia Rosji i Polski	dostateczny
Fizyka	celujący
Chemia	celujący
Historia Naturalna	celujący
Kaligrafia	dostateczny
Rysunki	dostateczny

Aleksander kontynuował naukę w Szkole Głównej w Warszawie, na Wydziale Matematyczno-Przyrodniczym. Żył biednie udzielając korepetycji. Pisał o Aleksandrze Gustaw Doliński:

"Aleksander, student Szkoły Głównej w Warszawie. - Herbata i suche bułki rano, obiad za 40 groszy (dużo i co dobrego!), też sama herbata wieczorem, wiązeczka drzewa za szóstaka - i paczka tiutioniu wirginika za dziesiątkę. I czego więcej trzeba człowiekowi, co się zwał niezamożnym studentem".



Aleksander Głowacki – Student Szkoły Głównej.

Przerwał studia po dwóch latach i przeniósł się do Instytutu Gospodarstwa Wiejskiego i Leśnictwa w Puławach. Niestety, studiów nie ukończył i został wydalony za "brak subordynacji", czyli postawę w stosunku do rosyjskiego języka.

Studia wpłynęły na rozwój jego zdolności i zainteresowań naukowych zwłaszcza w zakresie nauk ścisłych. Niestety, jego trudne warunki materialne nie polepszyły się. Chwytał się różnych sposobów zarobkowania. Pracował jako korepetytor, guwerner, robotnik w Fabryce Maszyn i Narzędzi Rolniczych Evansa, Lilpopa i Raua w Warszawie. Spędził pewien czas w klasztorze w samotności. Dokszałcał się sam. Czytał wiele dzieł różnych pisarzy obcych. Tłumażył lub streszczał interesujące go pozycje, np. **LOGIKĘ** Johna Stuarta Mill'a, (1806 - 1873), angielskiego filozofa, logika i ekonomisty. Był to okres dojrzewania pisarza. Od chwili usunięcia go ze szkoły jego marzenia o studiach politechnicznych, o badaniach naukowych o pracach uczonego rozwiewały się. Nie widział możliwości

osiągnięcia tego w kraju, a na wyjazd za granicę nie posiadał odpowiednich funduszy. Trudno mu było zapomnieć o walkach powstańczych, o prześladowaniach następujących po upadku powstania. Polaków usuwano z ważniejszych posad urzędów państwowych, rusyfikowano i reorganizowano szkolnictwo, rugowano język polski z wielu szkół. W roku 1869 Szkoła Główna w Warszawie została zamknięta i zamieniona na Cersarski Uniwersytet Warszawski.

Aleksander szukając źródeł zarobków wzbożony o swoje różne doświadczenia zaczyna interesować się publicystyką. Pisanie nie było mu obce. Pisał już kiedy był uczniem w gimnazjum. Jego pierwszy utwór, wiersz "**Do Pegaza**" opublikowano w "Kurierze Niedzielnym". W roku 1866 w "Kurierze Świątecznym" humoreski. Drukował też artykuły poważne, np. "**O Elektryczności**", "**Szkice Społeczne**" i podpisywał je Aleksander Głowacki.

W roku 1872 przesłał do "Opiekuna Domowego" pierwszą część "**Listów ze starego obozu**" i użył swojego pseudonimu Bolesław Prus po raz pierwszy. Zaczął współpracować z "Kurierem Warszawskim". Był nawet przez kilka miesięcy redaktorem pisma humorystycznego "Mucha". W serii Szkice społeczne publikował różne wiersze, scenki. Współpracował z dwutygodnikiem "Kolce". Publikował w nich felietony "Na czasie". Na łamach "Kolców" został opublikowany pierwszy szkic powieściowy, **Kłopot babuni** i pierwsza książka, **To i owo, właściwie zaś: Ani to, ani owo, czyli 48 powiastek dla pełnoletnich dzieci**. Współpracował z "Kurierem Warszawskim". Miał tam stałą rubrykę Kroniki Tygodniowe. Pisał także felietony do innych wydawnictw jak "Nowiny", "Ateneum" itd.

Pisząc felietony "*musiał być wszędzie i wiedzieć o wszystkim*" musiał czytać i dokszałcać się we wszystkich dziedzinach życia. Musiał odwiedzać teatry, muzea, galerie, fabryki, targi, miasta i wsie. Nie była to lekka praca, ale była to doskonała szkoła i doświadczenia dla przyszłej działalności powieściopisarza. W ten sposób Bolesław Prus poznawał realia życia społeczeństwa polskiego. Kroniki Prusa pozostały do dzisiaj wspaniałym kompendium wiedzy o ży-

ciu Polaków drugiej połowy dziewiętnastego wieku.

Prus był, jak większość młodych pozytywistów zwolennikiem pracy organicznej od podstaw. W latach późniejszych napisał **Szkic programu w warunkach obecnego rozwoju społecznego**. Jako dziennikarz w swoich felietonach dążył do kształtowania opinii czytelników, do wychowania młodego pokolenia. Organizował akcje wygłaszania odczytów w wielu miastach na różne tematy, np. *O budowie wszechświata*, *O odkryciach i wynalazkach* itp. Do współpracy wybierał raczej pisma umiarkowane. Był inicjatorem i organizatorem wielu społecznych organizacji dobroczynnych.

W roku 1875, 4 stycznia odbył się ślub młodego publicyście z Oktawią Trembińską. Warun-



Żona pisarza, Oktawia Głowacka.



Emil Trembiński.

ki materialne przyszłego pisarza polepszyły się. Do małżeńskiego życia przygotowywał się z przejęciem. Śledził odnawianie mieszkania i o wszystkim donosił w zabawnych listach swojej ukochanej Oktawii, a na prezent słubny kupił jej... maszynę do szycia.

W następnych latach ukazują się **Kroniki** miesięczne w "Ateneum". W "Kurierze Warszawskim" publikuje opowiadanie **Sieroca dola**, a owocem wyjazdów do polskich miast są **Kartki z podróży** w "Kurierze Warszawskim". W 1881 roku wyjeżdża do Wiednia na Międzynarodowy Kongres Literacki. Po powrocie nawiązuje współpracę z petersburskim "Krajem" i przez następne 5 lat pisze do niego felietony. Pisze i publikuje dalsze opowiadania: **Kamizelka**, **Milknące głosy**, **Grzechy dzieciństwa**, **Na wakacjach**, **Omyłka**, **Cienie**. Za najlepsze nowele uważane są **Przygoda Stasia**, **Michałko**, **Katarzynka**, **Powracająca fala**, **Antek**. Ukazuje się

pierwsza większa powieść **Placówka**. W odcinkach rozpoczyna szereg innych utworów, ale nie wszystkie z nich zostały opublikowane.

Pod koniec lat osiemdziesiątych Oktawia i Bolesław Głowaccy biorą na wychowanie dwuletniego Emilka Trembińskiego, bratanek i chrześniaka Oktawii. Dziecko z natury żywe, urwisowate, przybrany ojciec, Bolesław Prus nazwał Psujakiem. A pomysły mały Emilek miał. Będąc z rodzicami na wakacjach, w ulubionym przez Prusa Nałęczowie, potrafił poodkręcać wszystkie krany w pokoju kąpielowym i spowodował małą powódź. A miał wtedy tylko 5 lat. Wyrósł na miłego, zdolnego młodzieńca. Niestety zmarł tragicznie (popęłnił samobójstwo) w wieku lat 18. Było to ciężkie przeżycie dla Bolesława Prusa i jego żony. Książeczka, nieskończona miała być ofiarowana Psujakowi. Napisał Prus: *"Jeżeli ta książeczka posiada jakąkolwiek wartość, pragnąłbym, aby w pamięci ludzkiej tak zespoliła się z twoim imieniem, jak żal po tobie splątał się z moimi myślami"*.

W roku 1890 zostaje wydana w formie książki, drukowana poprzednio w prasie, wielka powieść **Lalka**. Następne dzieła: **Emancypantki** w 1894, w 1895 **Faraon**. Prawie wszystkie powieści zostały adaptowane na słuchowiska radiowe, sztuki teatralne lub filmy. Najważniejsze powieści zostały przetłumaczone na obce języki.

W 1897 roku wyjeżdża za granicę, do Niemiec i Szwajcarii. W Szwajcarii leczy dokuczającą mu agorafobię (lęk przestrzeni) i pozostaje tam przez 6 tygodni. W tym czasie odwiedza Oktawię i Stefana Żeromskich pomagając Żeromskiemu prowadzić kampanię o ulepszenie warunków w Muzeum Polskim w Raperswilu. Oprócz miast w Niemczech jedzie również do Paryża. Z powodu nawrotów agorafobii wraca do kraju i udaje się na wypoczynek do ukochanego uzdrowiska Nałęczowa.

W roku 1897 Bolesław Prus obchodzi jubileusz 25 lat pracy pisarskiej. Otrzymuje listy gratulacyjne z całej Polski. "Kurier Codzienny" wydaje z tej okazji specjalny numer poświęcony jubilatowi w którym ukazują się okolicznościowe wiersze, artykuły poetów i pisarzy. Powstaje projekt utworzenia funduszu imienia Bolesława

Prusa na zapomogi dla technicznego wykształcenia ubogich rzemieślników oraz projekt na wydanie tanich książek dla biednych dzieci.

I, wielka radość pisarza. Kupuje sobie maszynę do pisania, *"z przyjemnością myślę o tym, jak zecerzy będą zadowoleni otrzymawszy zamiast niewyraźnego rękopisu porządną druk"*. Kupuje sobie także aparat fotograficzny marki Kodak. Wielkie ułatwienie, zamiast np. opisywać krajobraz, wystarczy fotografia.

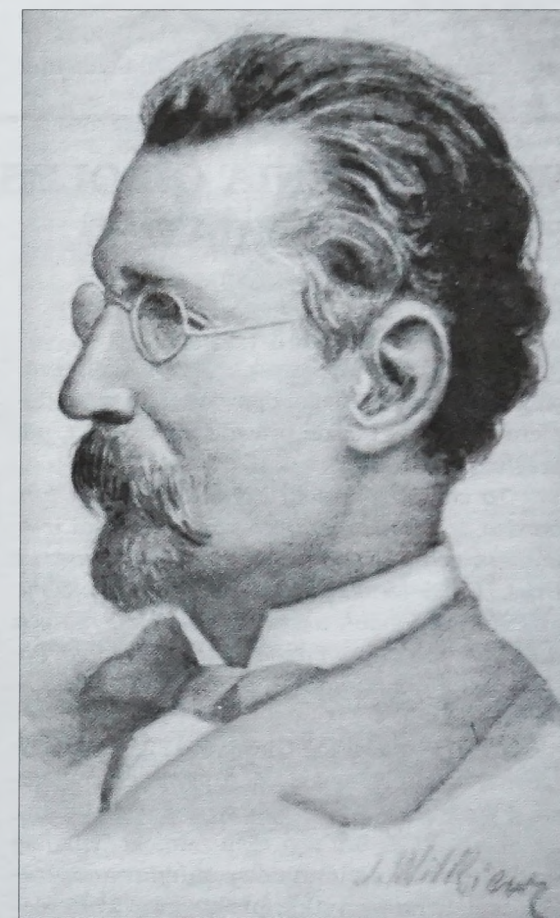
Bolesław prowadzi coraz większą działalność społeczną. Jest członkiem i współzałożycielem wielu organizacji zawodowych, społeczno-dobroczynnych, jak Kasa Przewoźców i Pomocy dla Literatów i Dziennikarzy, Warszawskie Towarzystwo Higieny, jest w komisji Towarzystwa Popierania Przemysłu i Handlu, jest członkiem-współpracownikiem warszawskiego Kuratorium Trzeźwości, jest współzałożycielem Kasy Pomocy im. J. Mianowskiego dla osób pracujących naukowo, jest członkiem Towarzystwa Osad Rolnych i Przytułków dla opuszczonych dzieci rzemieślniczych, do których należy opieka nad nieletnimi przestępcami. Jest członkiem honorowym i prezesem towarzystwa Literatów i Dziennikarzy. Bierze udział w spółce zakładającej polskie prywatne seminarium dla nauczycieli ludowych w Ursynowie pod Warszawą. Jest prezesem Stowarzyszenia Kursów dla Analfabetów Dorosłych, członkiem Polskiej Macierzy Małorolnych w Płocku i wielu innych. W 1912 roku zostaje członkiem Stowarzyszenia Alliance Francaise.

Ze względu na pogarszający się stan zdrowia poddał się kuracji neurologicznej i leczył oko w willi doktora Ochorowicza w Wiśle. Następuje poprawa zdrowia i Prus rozpoczyna współpracę z "Tygodnikiem Ilustrowanym". Przez 5 lat pisze **Kroniki Tygodniowe**. Głównymi tematami Kronik przez pierwsze lata są dążenia młodego pokolenia, programy różnych stronnictw, strajki, autonomia Królestwa Polskiego.

W roku 1909 Prus pisze testament przeznaczając fundusze na stypendia dla *"synów polskich chłopów odznaczających się zdolnościami, pilnością i moralnością, kształcących się i przygotowujących się do pracy zawodowej w zakresie rolnictwa, rzemiosł lub nauczycielstwa ludowego"*.

Z ostatniej podróży na Wołyń, gdzie wyjechał w sprawie sprzedaży odziedziczonej wioski po ojcu, pisze **Notatki z Wołynia**. Do "Tygodnika Ilustrowanego" przesłał rękopisy w ostatniej chwili.

Bolesław Prus zmarł 19 maja 1912 roku w Warszawie, mieście, w którym spędził większą część swojego życia. Pogrzeb odbył się 25 maja. Już o godzinie 3 po południu przerwana została komunikacja na całej trasie, którą miał przejeść kondukt żałobny. Na olbrzymiej przestrzeni uformowały się szkoły, cechy rzemieślnicze, robotnicy fabryczni, grupy przedstawicieli instytucji społecznych i naukowych. Wszędzie, jak okiem sięgnąć niezliczone tłumy. Setki tysięcy ludzi zalegały wszystkie zakątki ulic i placów, którymi miał przechodzić kondukt. O godzinie 4



Bolesław Prus w 1887 r., rys. Stanisław Witkiewicz.

kościół był pełen... Na ambonę wszedł ks. kano-
nik Szlągowski. Z ust kaznodziei popłynęły sło-
wa przepojone bólem, a choć mówił pięknie i pod-
niosłe, choć chwilami głos mu się łamał i milk-
nął, wszyscy rozumieli, że nie ma słów, mogą-
cych uwydatnić stratę, poniesioną przez naród.
Rozumiał to i sam kaznodzieja. Rozległy się pie-
śni... dźwięki marsza żałobnego. Z kościoła po-
chód żałobny udał się na cmentarz na Powąz-
kach. Przy grobie przemawiali przedstawiciele
Akademii Umiejętności, Uniwersytetu Jagielloń-
skiego, Warszawskiego Towarzystwa Naukowe-
go, Towarzystwa Literatów, Dziennikarzy Pol-
skich i wielu innych. Mrok już zapadał, kiedy
skończył się pogrzeb. Odszedł Apostoł dobroci,
wielki pisarz, nauczyciel i badacz życia społe-
czeństwa polskiego. Na pomniku napisano,
"SERCE SERC".

Danuta Schneider



Grób Bolesława Prusa na Powązkach.

WSPOMNIENIA O BOLESŁAWIE PRUSIE Z KSIĘGI PAMIĄTEK

Było to w roku 1864.

Kolega Adam Mysłowski, uczeń klasy szó-
stej liceum lubelskiego, opowiadał nam, że do-
piero wtenczas będzie prawdziwa uciecha, jak
przyjedzie Głowacki.

- To chłopiec wesoty i dowcipny, przy tym
bardzo dobry matematyk i poeta. Napisał wie-
le wesotych wierszy, a między innymi poemat
Bryś. Umie lornetować przez but dziurawy,
tańczyć fandango¹, wiele rzeczy niestychanych
dokonał - i w danym razie pokaże, co umie. Po-
winien już przyjechać - a dlaczego nie ma go -
nie wiadomo.

Nareszcie zjawił się Głowacki. Figura niepo-
czesna, szczupły, smagły - czupryna czarna, gę-
sta i kędzierzawa, oczy przymrużone, bo ma
wzrok krótki. Twarz wyrazista, wąsiki sypią się
- granatowe kepi², granatowy mundur uczniow-
ski, zapięty na wszystkie guziki - prawy but nie-
co wykrzywiony. Widać:

*Nie służę Panu Bogu, tylko Świętej Ewie,
Nie chodzi na podeszwie, tylko na cholewie.*

- *Cóżes ty nam prawić takie cuda?* - powia-
damy do Mysłowskiego, inaczej Mycusia. - *Ot,
sobie scyzoryk taki jak i drudzy i wcale z fizjo-
nomii³ nie wygląda, aby nadzwyczajne rzeczy
pod czapką nosił.*

Okazało się jednak inaczej. Głowacki, znany
już z miejscowej szkoły realnej jako jeden z naj-
zdolniejszych uczniów, w szóstej klasie liceum
zdołał sobie od razu uznanie. Prócz wybitnych
zdolności do matematyki i nauk przyrodni-
czych nie dał się wyprzedzić drugim i w innych
przedmiotach, a jako bezwarunkowo najwięcej
oczytany i rozwinięty pisał wypracowania
wszelkie doskonale. Umiał przy tym zaskarbić
sobie przyjaźń kolegów. Wesoty i towarzyski
z natury, uczynny i serdeczny, zgrupował wnet
obok siebie kółko szósto- i siódmoklasistów,

a żywy i pełen intuicji⁴ umysł jego począł orga-
nizować i zespałać młode siły i ochotę do
wspólnego pożycia umysłowego i wspólnej pra-
cy. (...)

Z inicjatywy Głowackiego powzięto myśl,
aby klasa szósta i siódma urządziły wspólne
repetycje niektórych przedmiotów, dla tym ła-
twiejszego przygotowania się do egzaminów -
projekt ów przyszedł do skutku. Głowacki po-
czął wyklądać kosmografię⁵, zaś w klasie siód-
mej Zbigniew Kamiński algebrę, a Mikołaj Mal-
homme geometrię analityczną. Powstała rów-
nież myśl wydawania uczniowskiego pisma
w siódmej klasie. Kamiński Zbigniew i niżej
podpisany wydawali "Głos z kąta", zaś Gło-
wacki w klasie szóstej pisał humorystyczny
"Kurier Łobuzów", do którego Michał Świąt-
kowski rysował winiety⁶ i odpowiednie ilustra-
cje. Nie pamiętam dobrze, co z Kamińskim pi-
saliśmy w "Głosie z kąta", nie ma w tym zre-
szta straty dla piśmiennictwa krajowego, zaś
z "Kuriera Łobuzów" umiem krakowiaka po-
czynającego się od słów:

*Jestem sobie tęgi student, wąsy mi urosły,
Panienki się uśmiechają,
(Chór łobuzów za kulisami)
Że studenty osty!*

Krakowiak ten, jak również poemat fanta-
styczny **Bryś**, jako pierwociny⁷ talentu przy-
szłego Bolesława Prusa, cieszyły się w gronie
kolegów należytym uznaniem.

Głowacz - inaczej "Jan w Oleju", pod tym
bowiem pseudonimem pisał swoje pamiętniki
w "Kurierze Świętecznym", posiadał w skar-
bonce mózgowej bogaty zapas pieśni ludo-
wych, osobliwie krakowiaków i wyrwasów.

Poprzedzając wykład słowami wyjętymi
z kursu literatury, a mianowicie: "Pieśni ludu
są to samorodne kwiaty, żadną sztuką nie
upiększone, ubarwione powietrzem i słońcem
miejscowym, a jako w przezroczej krynicy⁸ odbi-
ja się jasno błękit niebieski, tak w pieśni ludu
odzwierciedla się jego natura, wierzenia i oby-
czaje" - dodawano już od siebie, co następują-
ca zwrotka opiewa:

Hej na zielonej górcie itd.



Karykatura Prusa nieznanego autora.

albo:
*Za stodołom, za Wojtkowom,
Daj mi pokój - bo zawotom -
Jak zawotom na wujaszka itd.*

albo:
*Z tamtej strony Radziejewa
A czymżeż się odziejewa itd.*

Uciesznym strofom akompaniował na har-
monii Świątkowski lub Baczyński, zaś mały
a gruby Michalski był mistrzem na bębnie
z brzękadłami. (...)

Gustaw Doliński

- ¹ fandango - hiszpański taniec ludowy
- ² kepi - rodzaj nakrycia głowy w kształcie ściętego stożka, zwykle używana w niektórych armiach
- ³ fizjonomia - wyraz, rysy twarzy
- ⁴ intuicja - zdolność domyślania się, twórcza wyobraźnia, przeczucie
- ⁵ kosmografia - zbiór ogólnych, opisowych wiadomości z zakresu astronomii
- ⁶ winieta - ozdobna kompozycja rysunkowa na początku rozdziałów, tomów lub na końcu książek
- ⁷ pierwociny - początki, załączki; tutaj początki talentu pisarskiego
- ⁸ krynica - źródło, zdroj, strumień

PRUS-FELIETONISTA

Trzeba go było znać osobiście i widzieć, jak się przejmował każdą kwestią publiczną, jak mu ona wchodziła w nerwy, w krew, we wszystkie komórki mózgu w danej chwili.

Zdarzało się często, że w swym rozpiętym paltocie, z jakimś kosturkiem przypominającym laskę, z kapeluszem lub czapczką baranią, które nigdy chyba nowymi nie były, z miną zaaferowaną wpadał do redakcji "Kuriera Warszawskiego"¹ i nie rozbiegając się, nie witając z nikim, siadał przed biurkiem sekretarza i zaczynał:

- Ot, macie!... oto macie!... cóż teraz będzie?... trzeba coś zrobić. Czy wy nie widzicie, moi ludzie, co się dzieje!

I dopiero w krótkich, urwanych zdaniach wygłaszał swoją opinię chodząc dużymi krokami po pokoju, potrząsał głową, wrzeszczał ramionami, przecierał swoje podwójne binokle² i odbywał krótkie narady z panem Wacławem, a potem zrywał się znowu i bez pożegnania najczęściej zniknął z redakcji, aby spieszyć do domu, zamknąć się w swoim gabinecie na kilka godzin i pisać *Kronikę*³ na długich, wą-

skich paskach, które w sobotę sam przynosił do druku ze słowami:

- Macie *Kronikę* na jutro, tylko niech uważnie składają!

Jakby mu ulgę sprawiało wylanie zapasu nagromadzonych myśli, siadał potem w wesołym humorze z Szymanowskim do szachów i czekał cierpliwie na korektę.

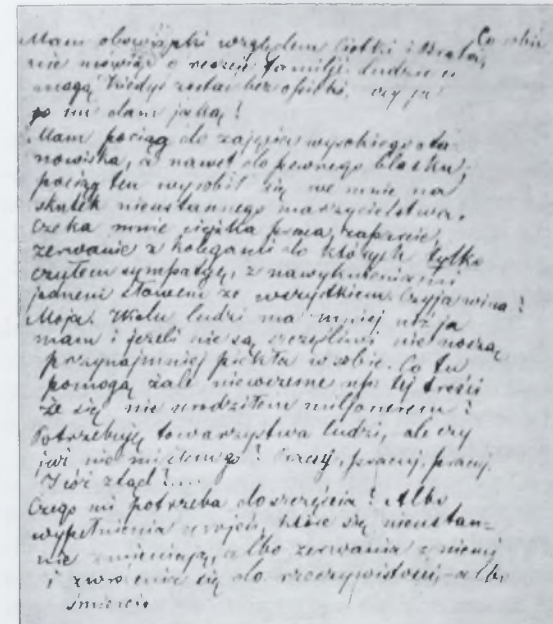
Zdarzało się, że rękopis bywał niekiedy opóźniony, ale co zwyczajnemu pracownikowi nie byłoby płazem uszło, to uchodziło Prusowi: wiedziano, iż nie potrafi pisać na obstalunek⁴ i że do pracy przysiąść się może wtedy tylko, gdy czuje prawdziwe natchnienie i ma istotną potrzebę przemówienia do czytelników.

Z natury delikatny, jakby nieśmiały, unikający rozgłosu i zwracania uwagi na siebie, skromny aż do przesady, nie lubiący rozmawiać nigdy o sobie i swoich pracach, należał do tych rzadkich kolegów, którzy w stosunkach osobistych nikomu wody nie zamęcili, nikogo nie dotknęli przykrym, złośliwym słowem, żadnemu się nie narazili. Na swary literackie, na polemiki i kłótnie pisarskie spoglądał zawsze

z ironicznym uśmiechem i politowaniem, powtarzając sentencjonalnie:

- Panowie, szanujmy się... bo gdy nie będziemy się szanowali, ktoś nas szanować będzie?...

Marian Gawalewicz



Zeszyt - notatnik Aleksandra Głowackiego.

¹ "Kurier Warszawski" - pismo codzienne, które wychodziło od roku 1821 do 1939; w nim Prus drukował w latach 1874 - 1887 *Kroniki tygodniowe*.

² binokle - rodzaj okularów bez uchwytów na uszy, trzymających się na nosie za pomocą sprężynki.

³ *Kroniki* - były to felietony, czyli drobne artykuły publicystyczne w formie lekkiej, żywej i zajmującej, o treści politycznej, gospodarczej, społecznej, krytycznoliterackiej itp., związanej z aktualnymi wydarzeniami i zjawiskami.

⁴ obstalunek - zlecenie wykonania czegoś; zamówienie.

Odczyt dobroczynny humorysty p. B. Prussa.



Prus podczas odczytu "W walce z życiem".

BIBLIOGRAFIA

DZIEŁA BOLESŁAWA PRUSA:

Drobiazgi. Spółdzielnia Wydawnicza "Książka", Warszawa 1948. (Pisma pod redakcją Zygmunta Szwejkowskiego, tom III.)

Emancypantki. 2 tomy, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1976.

Faraon. 2 tomy, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1964.

Kroniki: wybór. 2 tomy, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1987.

Lalka. 2 tomy, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1963.

Placówka. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1968.

Przygoda Stasia i inne nowele. Nasza Księgarnia, Warszawa 1987.

Nowele. Drukowane po drugiej wojnie światowej, prawdopodobnie na Bliskim Wschodzie.

MATERIAŁY O PRUSIE:

Pieścikowski, Edward. **Bolesław Prus.** Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1977.

Pieścikowski, Edward. **Prus. Z dziejów recepcji twórczości.** Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1988.

Tokarzówna, Krystyna i Stanisław Fita. **Bolesław Prus: 1847 - 1912. Kalendarz życia i twórczości.** Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1969.

OD REDAKCJI:

Poniżej drukujemy utwory i fragmenty twórczości Bolesława Prusa.

Bolesław Prus
Aleksander Głowacki

PLEŚŃ ŚWIATA

Zdarzyło mi się być w Puławach z pewnym botanikiem. Siadaliśmy przy Sybilli na ławce, pod olbrzymim kamieniem porośniętym mchami czy pleśnią, które od kilku lat badał mój uczo-ny towarzysz.

Zapytałem: co ciekawego znajduje się w przyglądaniu się nieregularnym plamom szarym, popielatym, zielonym, żółtym lub rudym?

Popatrzył na mnie z nieufnością, lecz przekonawszy się, że ma przed sobą profana, począł objaśniać:

- Te plamy, które pan widzisz, nie są wcale martwym brudem, lecz - zbiorem istot żyjących. Niewidzialne dla gołego oka, rodzą się one, wykonywają ruchy, których nie możemy dostrzec, zawierają związki małżeńskie, wydają potomstwo i wreszcie giną.

Co godniejsza uwagi, tworzą one jakby społeczeństwa, które tu widzisz w postaci różnobarwnych plam - uprawiają pod sobą grunta dla następnych pokoleń - rozrastają się, kolonizują nie zajęte miejscowości, nawet toczą między sobą walki.

Ta popielata plama, duża jak dłoń, była przed dwoma latami nie większa od czterogrosznika. To małe siwe piętno przed rokiem nie istniało i pochodzi od tej wielkiej plamy, która zajmuje szczyt kamienia.

Te znowu dwie: żółta i ruda walczą ze sobą. Niegdyś żółta była bardzo rozległa, lecz powoli sąsiadka wyparła ją i zajęła jej miejsce. A spojrzysz na zieloną - jak siwa sąsiadka, zapuszcza w nią zagony, ile na zielonym tle widać szarych pasków, punktów, kęp? ...

- To coś jak między ludźmi - wtrąciłem.

- No, nie - odparł botanik. - Społeczeństwom tym brakuje języka, sztuk, nauk, świadomości, uczuć; słowem - brakuje im dusz i serc, które my, ludzie, posiadamy. Wszystko się tu dzieje na oślep, mechanicznie, bez sympatii i bez antypatii.



W kilka lat później znalazłem się obok tego samego kamienia w nocy i przy świetle księżycy przypatrywałem się zmianom, jakie zaszły w formach i rozmiarach różnych pleśni.

Wtem ktoś mnie trącił. Był to mój botanik. Prosiłem go, ażeby usiadł; ale on stanął przede mną w ten sposób, że zasłonił księżyc, i coś szepnął bezdźwięcznym głosem.

Sybilla, ławka i kamień znikły. Uczułem dookoła siebie mdłą jasność i niezmierną pustkę. Gdy zaś odwróciłem głowę na bok, ujrzałem ni- by szkolny globus błyszczący słabym światłem, tak wielki, jak ów kamień, obok którego byli- smy przed chwilą.

Globus z wolna obracał się ukazując coraz to nowe okolice. Oto ląd azjatycki z małym półwys- pem Europą; oto Afryka, obie Ameryki...

Wpatrzywszy się lepiej dostrzegłem na zamieszkałych lądach takie same plamy, szare, siwe, zielone, żółte i rude jak na kamieniu. Składały się one z mnóstwa nikłych punkci- ków, na pozór nieruchomych, w istocie ruszają- cych się bardzo leniwie: pojedynczy punkt po- suwał się co najwyżej o dwuminutowy łuk w ciągu godziny, i to nie w linii prostej, lecz jak- by wahając się około właściwego sobie środka ruchu.

Punkty łączyły się, rozdzielały, ginęły, wystę-

powwały na powierzchnię globu; lecz wszystkie te zjawiska nie zasługiwały na szczególną uwagę. Poważny charakter miały dopiero ruchy całych plam, które zmniejszały się lub rosły, ukazywa- ły się na nowych miejscach, przesiąkały się na- wzajem lub wypierały z zajmowanych stano- wisk.

Glob tymczasem wciąż krążył i zdawało mi się, że wykonał setki tysięcy obrotów.

- Czy to ma być historia ludzkości? - spyta- łem stojącego przy mnie botanika.

Skinął głową na znak potwierdzenia.

- Dobrze - ale gdzie są sztuki, wiedza?...

Uśmiechnął się smutnie.

- Gdzie świadomość, miłość, nienawiść, pra- gnienia?...

- Cha! cha! cha!... - śmiał się cicho.

- Słowem - gdzie tu są ludzkie dusze i ser- ca?...

- Cha! cha! cha!...

Zachowanie się jego oburzyło mnie.

- Kto ty jesteś?... - zapytałem.

W tej chwili znalazłem się na powrót w ogro- dzie obok kamienia którego niekształtne plamy kapały się w blaskach księżycy.

Towarzysz mój zniknął, ale go już poznał po szyderstwie i melancholii.

Bolesław Prus

W GÓRACH

- Panie drogi - mówił do mnie jeden z przyja- ciół, wielki dziwak - panie drogi, homeopaci ma- ją znakomitą zasadę: "podobne leczy się podob- nem". Przecież ospę nawet alopaci leczą ospą, a Pasteur wściekliznę chce leczyć wścieklizną. Ale na co te przykłady? ... Opowiem panu fakt, na który patrzyłem, gdzie człowiek z urojonych strachów uleczył się za pomocą istotnego nie- bezpieczeństwa.

Po tym wstępie mój przyjaciel zapalił cygare i ciągnął dalej:

- Pierwszy raz widziałem Alpy przed dwu- dziesiątoma laty przyjechawszy do Thusis. W kil-

ka dni po przybyciu do tego miasteczka wybra- łem się z pewnym towarzystwem na mały spa- cer. Przy tej jednak okazji najadłem się tyle strachu, że zniechęcony natychmiast opuści- łem Thusis, a następnie przez kilka lat nie móg- łem patrzeć na góry.

Na ową wycieczkę poszliśmy w sześć osób: było nas dwu Polaków, Niemiec, Anglik i dwie damy Francuzki, wszystko lokatorowie tego sa- mego hotelu. Nie wzięliśmy przewodnika, po- nieważ Anglik znał miejscowość, a szczyt, na który mieliśmy się drapać, wydawał się tak wi- docznym i łatwym, jak to krzesło na środku po- koju. Widziałem wprawdzie przez lunetę na sto- ku góry jakieś zmarszczki poprzeczne i podłuż- ne, ale ponieważ nie były większymi od zago- nów, nie myślałem o nich. Dziwiłem się nawet, że na taki spacer wychodzimy z hotelu o dzie-

wiątej rano; nie chcąc się jednak przyznawać, że nie mam pojęcia o górach, nie robiłem żadnych uwag, a w podróży zachowywałem się jak turysta, który przedeptał Himalaje. To zjednało mi ogólny szacunek, a wyjątkową sympatię u Niemca.

Naturalnie, odplacałem mu wzajemnością, był to bowiem niesłychanie miły człowiek, który miał, niestety! jedną wadę: chorował na zawroty głowy.

Drogę mieliśmy wesołą: wszyscy, nie wyłączając Anglika, zbyt kowali jak dzieci: tylko ja byłem poważny, a Niemiec na każdej spadzistości oglądał się za siebie i cytował wyjątki z Wergiliusza. Mówił, że jest to najlepszy sposób odwrócenia uwagi od tego, na co nie chcemy patrzeć.

- Więc i tutaj kręci się panu w głowie? - spytałem.

- Tak - odparł szybko - ale... nie mówmy o tym, bo nie zrobię ani kroku naprzód.

Umilkłem, a mój Niemiec coraz głośniejsz deklamował Wergiliusza i coraz częściej oglądał się za siebie. Raz nawet schwycił mnie za rękę i szepnął do ucha:

- Pański spokój jest dla mnie źródłem odwagi. Gdyby pana tu nie było, ustałbym w drodze albo... kark bym skrzył.

Zimny pot wystąpił mi na czoło, ponieważ stan mojej duszy był pełnym kontrastem tego, co biedny towarzysz wyobrażał sobie o mnie.

Przede wszystkim mocno mnie niepokoiło to, że pomimo dwugodzinnej podróży góra, na którą mieliśmy wejść, wcale się do nas nie zbliżyła: zdawało mi się, że ciągle stoi od nas mniej więcej o wiorstę drogi. Ale moje zakłopotanie dosięgło zenitu, gdy nagle góra, dokąd zbliżaliśmy się, znikła, a zamiast niej zobaczyłem ogromne masy ziemi i skał, które zaczynały się gdzieś głęboko w dole, a kończyły - chyba pod gwiazdami.

Ściana, na którą wdrapywaliśmy się, miała formę olbrzymich schodów, ze stopniami po kilkaset kroków wysokimi. Stanąwszy pod takim stopniem myślałem, że to już szczyt, lecz po kwadransie wchodzenia przekonywałem się, że zamiast na szczycie, znajdujemy się na nowym stopniu albo na małym poletku, za którym stoi jeszcze jeden stopień. I tak bez końca.



Wycieczka Prusa w góry.

Droga tymczasem stawała się coraz dzikszą. Znikły lasy, trawa, kosodrzewina, nawet ziemia - gruntowa. Stąpaliśmy po warstwie kamieni, coraz większych i coraz łatwiej usuwających się spod nóg. Coraz gęstsza gromadą otaczały nas olbrzymie czuby gór przystrojonych kitami obłoków albo wąwozy dyszące mgłą niebieskawą.

Niekiedy fałdy góry wygładzały się: niktęły jej wielkie stopnie i tarasy, a zamiast nich widziałem pochyłą ścianę, która wymykała mi się spod nóg i biegła stromo aż do szafirowych lasów, drzemających o wiorstę głęboko. Raz, gdy na chwilę zapomniałem, że jestem na górze, przywidziało mi się, że stoję na równinie, która nagle uchyla mi się pod nogami; część jej podnosi się aż do nieba, a druga część spada gdzieś aż do wnętrza ziemi. Uczułem zawrót głowy i, aby nie stoczyć się, chwyciłem za ramiona idącego przede mną Niemca. On przyspieszył kroku i znaleźliśmy się w miejscu mniej stromym.

- Dziękuję panu... - szepnął, mocno ściskając mi rękę. - Już mi lepiej... Uratowałeś mi życie...

Oslupiałem ze zdumienia. A tymczasem idące przed nami damy poprawiały na sobie szale i sukienki, które, według ich opinii, układały się nie dosyć estetycznie.

- Ogromny upał! - rzekła jedna.

- Co za niewygodna droga! - biadała jej towarzyszka.

Po kwadransie spokojniejszej drogi ściana, na którą wstępowaliśmy, skończyła się. Zobaczyłem, że ze wszystkich stron otaczają nas nagie albo śniegiem pokryte wierzchołki gór, że między nami a nimi nie ma nic, a raczej jest tylko powietrze. Nie wiem, dlaczego uczułem w tej chwili jakąś spokojną dumę i bezprzedmiotowy zachwył.

- Jesteśmy na szczycie - rzekł Anglik i skłoniwszy się damom zapalił cygaro.

- Prześliczny widok! - zawołały obie panie.

Wydobyły z kieszeni lusterka i zaczęły poprawiać sobie nieco potargane włosy.

- Druga godzina! - odezwał się mój rodak po polsku. - Diabli wzięli obiad, a może i kolację...

Niemiec tymczasem usiadł i, pochyliwszy twarz do ziemi, począł deklamować Wergiliusza.

- Czy widzisz pan Thusis? - spytałem go. - Wygląda jak kilka ziarenek grochu.

- Nic nie widzę i na nic nie patrzę - odparł. Nade wszystko nie wiem, czy stąd zejść!...

Anglik spostrzegł bladłość na jego twarzy, pokręcił głową i podał mu flaszkę koniaku. Chory biedak wypił, trochę odpoczął i uspokoił się.

Siedzieliśmy z kwadrans, gdy zerwał się wiatr dosyć chłodny. Właśnie spoglądałem w kierunku Thusis i zobaczyłem szczególne zjawisko. W głębokim wąwozie, który leżał u naszych nóg, błękitna mgła nabrała jaśniejszej barwy, potem zrobiła się niebieskawą, bladoniebieską, nareszcie zupełnie białą. A potem szybko zaczęła wypełniać wszystkie doliny, tak że zdawało się, iż otacza nas morze mleczne, po którym szczyty gór pływają. I nie tylko pływają, ale stopniowo zaczynają zanurzać się i tonać. Widziałem wyraźnie jakiś ruch między mgłą i górami, ale przeraziłem się, gdy spostrzegłem, że szczyt, na którym stoi-



Kartka pocztowa z podobizną Prusa z tekstem napisanym przez Sienkiewicza.

my, poczyna spadać w dół... Byłbym przysiagli, że spadamy na rozpostarty pod nami obłok, ku któremu zbliżaliśmy się ogromnie prędko.

- Co to znaczy? - zapytała jedna z dam Anglika.

Mgła podnosi się w górę - odparł nieco zasępiiony. - Musimy schodzić - dodał.

"A więc to nie my spadamy, tylko mgła podnosi się ku nam!..." - pomyślałem znacznie spokojniejszy.

Ale obłoki mają prędkie skrzydła. Jeszcze nie zdążyliśmy powstać z siedzenia, a już mgła otoczyła nas ze wszech stron, i, pomimo dnia, zrobiło się tak ciemno, że nie widzieliśmy nawet o parę kroków. Na rękach i twarzach poczuliśmy wilgoć, potem zaczął padać deszcz, potem deszcz ze śniegiem, a potem śnieg tak gęsty, jak u nas podczas zawiei.

Pomimo to szliśmy trzymając się za ręce, droga bowiem była bezpieczna, a Anglik znał ją wybornie. Niekiedy pod nogami usuwały nam się śliskie kamienie, a wówczas - zjeżdżaliśmy kilka łokci w dół wśród ogromnego śmiechu. Najgłośniejsz śmiał się Niemiec, który nabrał doskonałego humoru od chwili, kiedy mgła zasłoniła mu spadek góry i przepaści pod nią leżące.

Po jednym takim poślizgnięciu się zjechaliśmy nie dwa albo trzy, ale ze trzydzieści łokci w dół. Już damy zaczęły krzyczeć: "ach! ach!" - kiedy nasz pęd zwolnił, i uczuliśmy pod nogami twarzą skałę.

Niemiec bardzo zadowolony powstał pierwszy i wyciągnawszy kij chciał iść naprzód. Ale zatrzymał go Anglik.

- Za pozwoleniem - rzekł - muszę zorientować się, gdzie jesteście.

Posunął się kilka kroków po omacku i wnet rozpląnął się we mgle.

- Ho! ho!...

Znowu wrócił, ale na jego twarzy dostrzegłszy niepokój.

- Może przyda się panu busola? - spytał go mój rodak.

- Ależ naturalnie, pokaż pan! - odpowiedział Anglik, niecierpliwie chwytając w rękę małą busolę, którą mój rodak ozdabiał dewizką zegarka.

Anglik patrzył, kręcił busolą, wreszcie kładąc ją językiem

- Musimy zatrzymać się, dopóki mgła nie przejdzie - rzekł z uśmiechem do dam.

A do nas szepnął:

- Zbłądziliśmy, jesteśmy zupełnie w innej stronie góry...

- A jak wysoko stoimy?... - zapytał Niemiec.

- Może w połowie góry, zresztą... czy ja wiem?

- A może tu jest gdzieś przepaść?... - spytał znowu Niemiec.

- I za to nie ręczę - odparł Anglik. - W każdym razie brzegi tej skały są bardzo spadziste.

Damy siedziały zachmurzone.

- Szkoda, żeśmy nie wzięły maszynki do czekolady - odezwała się jedna z nich.

Było już po czwartej, kiedy dmuchnął silny wiatr z boku i na chwilę odsłonił horyzont.

Dreszcz przebiegł mi po skórze. Zobaczyłem, że siedzimy jakby na gzymsie kilkanaście łokci szerokim. Za nami stała spadzista ściana góry, pokryta śliskimi kamieniami, po których w tej chwili niepodobna było się wdrapywać, a przed nami - o wiorstę niżej - dolina...

O zejściu z gzymsu w stronę doliny nie mogło być mowy, w tym bowiem miejscu skalista ściana góry spadała prawie prostopadle.

- Kiedyż ruszymy, panowie? - odzewała się jedna z dam.

- Jak mgła przejdzie - odpowiedział Anglik.

- A jeżeli do nocy nie przejdzie?

- To będziemy tu nocowali.

- Pan żartuje? ...

- Wcale nie - odparł z powagą. - Wpadliśmy w pułapkę i musimy być cierpliwi.

- Więc dawajcie, panowie, jakieś hasła - wtrącała druga. - Okolica nie jest przecież pusta, może kto usłyszy...

- Właśnie tak chcemy zrobić ...

Mój ziomek miał rewolwer, z którego zaczął strzelać w stronę doliny. Ale huk był tak słaby, że wątpił, aby go kto usłyszał.

Tymczasem mgła gestniała coraz bardziej. Damy owinęły się w szale i siedziały smutne, a Niemiec chodził tam i na powrót z oznakami wielkiego rozdrażnienia.

Nagle wziął mnie za rękę i odprowadził na bok. Twarz jego miała dziki wyraz.

- Panie - rzekł zmienionym głosem - wiem, że siedzimy nad przepaścią, a choć jej nie widzę, na samą myśl o niej czuję tak straszny zawrót głowy, że... nie wytrzymam dłużej...

- Więc cóż pan zrobisz? ... - zapytałem zdumiony.

- Rzuć się! Wolę zginąć niż tak cierpieć... Pana tylko ostrzegam o tym; inni niech nic nie wiedzą...

- Oszalałeś? ...

- Tak, czuję, że oszalałem...

W tej chwili zbliżył się Anglik i, nim się opamiętałem, pochwyił szalonego. Chciał mu związać ręce, a do mnie rzekł półgłosem:

- Zarzuć mu chustkę na głowę...

Ale nieszczęśliwy wyrwał się, odepchnął nas obu i pobiegł wzdłuż gzymsu, na lewo.

Po chwili usłyszeliśmy ciężki upadek i stłumiony grzechot toczących się kamieni...

- Co się tam dzieje? - zawołała jedna z dam usłyszawszy hałas.

- Nic - odparł głucho Anglik. - Nasz towarzysz próbuje wejść na górę...

A do mnie szepnął:

- Ani słowa o tym, bo inaczej reszta pójdzie za nim. W takiej chwili szal jest zaraźliwą chorobą. Przykre położenie...

Wypił potężny łyk koniaku, poczęstował mnie, a potem... ładnym tenorem zaintonował arię z jakiejś operetki. Zachmurzone Francuzki rozjaśniły twarze i zaczęły śpiewać razem z Anglikiem. Nawet mój rodak zapomniał o obiedzie

i zawtórował im fałszywym basem, nieustannie myśląc się w melodii.

Tylko ja milczałem, zdumiony i przerażony. Ten śpiew nad przepaścią, po tak strasznym wypadku, dał mi poznać nadludzką odwagę Anglika, ale i grozę położenia.

- Śpiewaj pan! - zawołała do mnie jedna z dam. - Jest to najlepszy sposób na nudy i zimno.

- Może to także zwróci na nas uwagę górali - dodała druga.

I zaczęli we troje nową arię, jeszcze weselszą. Tym razem mój ziomek dał się bez ceremonii, po polsku, w te słowa:

"Żeby cię diabli porwali, Angliku, razem z twoją górą! Gdybym nie bał się Szwajcarów, zjadłbym cię zamiast cieleciny na obiad".

Anglik bardzo uprzejmie zwracał do niego twarz pobladałą i wywijał takt ręką.

Wtem... usłyszeliśmy jakiś głos z dołu. Anglik zerwał się na równe nogi i pobiegł w tę stronę gzymsu, z której rzucił się Niemiec.

- Hop! hop! - wołano z dołu.

- Hop! hop! - odpowiedzieliśmy chórem.

Obie damy pocałowały się z radości.

- Nie zabiłem się! - wołał głos. Schodźcie państwo tędy na dół!... Pyszna droga.

Ze zdumieniem poznaliśmy głos naszego Niemca.

- Z tego gzymsu, panowie, możecie zeskończyć, jest zaledwie kilka łokci wysoko... Ale damy trzeba znieść na ramionach - krzyczał Niemiec.

- Chwała Bogu! - zawołał mój ziomek - przynajmniej zjem dziś kolację!...

I skoczył prosto w mgłę.

Usłyszeliśmy znowu grzechot kamieni i białający głos ziomka:

- A niech go piorun trzaśnie z taką drogą!... Pewniem nogę wywichniął...

Po czym usłyszeliśmy w dole rozmowę. Widocznie już spotkał się z Niemcem.

Z kolei zeszedłszy wszyscy pomimo protestu pań, które w żaden sposób nie chciały stawać na ramionach Anglika. W końcu jednak rozmyśliły się: skała bowiem w tym miejscu tworzyła rodzaj progu wysokiego na trzy do czterech łokci, skąd trzeba było albo skakać, albo

schodzić przy pomocy osoby stojącej na dole. Opuściwszy fatalny gzyms znaleźliśmy się na spadzistym stoku, od góry do dołu zasypanym kamieniami. Toteż nie szliśmy, ale staczaliśmy się z ogromną szybkością i hałasem wzięwszy się we czworo za ręce: panie w środku a my z Anglikiem na skrzydłach. Poniżej nas, trochę z boku ujrzelśmy we mgle jadące dwa cienie: był to mój ziomek i niedoszły samobójca - Niemiec. Pomimo wielkiej szybkości, nieomal przez kilka minut toczyliśmy się po stromym spadku góry. Im jednak spadaliśmy niżej, tym bardziej mgła rzedniała; nareszcie w połowie spadku ujrzelśmy dolinę, a na niej kilka pasterskich szaleńców.

Gdy w kwadrans później zeszedłszy się wszyscy na łące, Anglik wzięwszy Niemca pod rękę rzekł do pań:

- Czy panie wiedzą, że przed godziną ten człowiek chciał się zabić?

Samobójca zawstydzony odszedł na bok, a Francuzki widząc powagę, z jaką Anglik mówił, zaczęły się śmiać. Nawet mój ziomek uważał to za doskonały concept. Ale gdyśmy opowiedzieli wypadek, jedna z dam rozplakała się, a druga dostała spazmów.

Istotnie chwilowemu szaleństwu naszego towarzysza zawdzięczaliśmy życie. Gzyms bowiem wisiał nad przepaścią, a tylko w tym miejscu, skąd skoczył Niemiec, można było zejść w dolinę bez narażenia się na śmierć.

Reszta jego przygody była prosta.

Rzuciwszy się ze skały trafił na warstwę kamyków, a chcąc prędzej skończyć ze swoim zawrotem głowy biegł przed siebie na oślep. Po kilku minutach wyminął strefę mgły i zobaczył drogę bezpieczną. Wtedy, ochłonawszy ze wzruszenia, z niemałym trudem wdrapał się znowu na górę, aby nas z niej sprowadzić.

- No i co pan powiesz - zakończył mój przyjaciel - że od tego wypadku Niemiec najzupełniej pozbył się zawrotu głowy... Został nawet członkiem klubu alpejskiego, a dziś jego nazwisko spotykam na liście turystów, którzy wchodzą na najwyższe szczyty...

Podobne leczyć podobnem.

Bolesław Prus

MILKNĄCE GŁOSY

Wróciwszy cało z piątej kampanii w życiu, pułkownik w końcu roku 1871 wziął dymisję i osiadł w Lyonie. Liczył sobie dopiero sześćdziesiąt pięć lat i wyglądał tak czerstwo, że przyjaciele namawiali go, aby się ożenił. Ale pułkownik nie chciał się żenić. Mówił, że wprawdzie ma jeszcze mocne nogi, lecz że go już znudziła adwokacka Francja, więc myśli wrócić do swoich. Z babą zaś miałby w drodze dużo kłopotu.

Chciał jechać natychmiast; zaczął nawet szukać kupca na swój domek z ogródkiem. Tymczasem przybyło do Lyonu trzech rodaków i kolegów pułkownika z najpierwszej kampanii. Starzy odnaleźli się łatwo, jeszcze łatwiej odnowili znajomość i odtąd chodzili sobie we czterech. Chcąc pić czarną kawę w polskiej kawiarence musieli razem jadać obiad w jednej restauracji. Potem każdy mógł iść, gdzie go oczy poniosą, byle wieczorem stanął na czas do wista. Ponieważ jednak trafiały się spóźnienia, więc dla porządku pilnowali się wzajemnie i - cały dzień chodzili razem, czasami po dwóch, czasem gęsiego, a zwykle rzędem.

Głównym zajęciem ich była rozmowa o dawnych kampaniach i o polityce bieżącej. W ciągu roku starzy odkryli wszystkie błędy Kossutha, Mac-Mahona, Bazaine'a i dawniejszych wodzów. W roku zaś następnym poukładali tak szczęśliwie plany wojen, że gdyby je wykonano, świat wyglądałby całkiem inaczej niż obecnie.

W trzecim roku jeden z nich umarł. Opłakali go, jak brata, lecz w miesiąc po pogrzebie zdecydowali, że w polityce nieboszczyka tkwił wielki błąd: bo Bismarck, choć Niemiec, jest jednak genialnym człowiekiem, i nie wiadomo, na co się jeszcze może przydać.

W czwartym roku umarł im drugi kamrat całkiem niespodzianie. Pułkownik aż położył się do łóżka ze zmartwienia i od tej pory z pozostałym kolegą nie grał w wista, tylko w mariaża. Starzy mniej teraz rozmawiali ze sobą, ale za to czytawali więcej gazet. Rozejrzawszy się

zaś i skombinowawszy to, co pisały dzienniki angielskie, z tym, co niekiedy bywało w niemieckich, doszli do wniosku, że Bismarck wcale nie jest taki zły, jak się wydaje, lecz - musi być ostrożny...

- W polityce, kochany kapitanie - mówił pułkownik - najpierwszą cnotą jest ostrożność. To rzecz daremna!...

- Zawsze byłem tego zdania, kochany pułkowniku - odparł kapitan. - I nawet, jeżeli sobie przypominasz, często broniłem Bismarcka...

- No, częściej mówiłeś, że to gałgan.

- Ja, pułkowniku? ... To nieboszczyk Kudelski, a głównie Domejko, Panie świeć ich duszy...

Potem dodał:

- Prawda, że dobrzy z nich oficerowie, ale - do polityki żaden nie miał głowy... choć obaj są już na boskim sądzie.

Nareszcie - pewnej zimy umarł i kapitan.

Pułkownik narazie nie okazał żalu; zajął się pogrzebem i sprawił taki, jak należało się oficerowi dwóch armii. Nie uronił ani jednej łzy; ale gdy nad grobem rozległy się salwy piechoty żegnającej kolegę, starzec nagle zachwiał się i padł, jak gdyby wszystkie strzały skierowano w jego piersi.

Ledwo go otrzęźwili. Przez kilka minut odpoczywał, potem, bez niczyjej pomocy, wsiadł do fiakra i kazał się odwieźć do domu.

Na drugi dzień w miejscowych dziennikach ukazało się ogłoszenie o sprzedaży domu pułkownika. Kupiec znalazł się prędko, a w tydzień później starzec gotował się do pożegnania gościnniej Francji na zawsze.

- Nie żal ci też, pułkowniku, opuszczać nas? - spytał go rejent, u którego robiono akt sprzedaży.

- Żal i nie żal - odparł starzec. - Żal, boście szlachetny naród, i warto za was krew przelewać. A nie żal - bo się u was dużo zmieniło... Gadacie tylko o handlu, pieniądzech, kuchni, zabawach... Wróć ja lepiej do moich śniegów... Tam są inni ludzie, moi ludzie... Oni zrozumieją mnie, ja ich. A tu, u was, jest mi już strasznie pusto...

Rejent pokiwał głową, ale widząc gorączkę starca nie wdawał się w perswazje. Zrozumiał on, że człowieka czasami porywa burza tęskno-

ty i niesie go jak liść, który, gdyby umiał myśleć, może by i myślał, że wraca na swoje dawne drzewo i że znowu do niego przyrośnie.

Pułkownik udał się do Paryża, ułożył się o wypłacanie mu emerytury, przedstawił w ambasadzie swoje dokumenta i uzyskał paszport. Spotkał wielu przyjaciół, którzy namawiali go, ażeby odpoczął choć do lata. Ale na próżno. Starca, od chwili gdy powiedział sobie, iż wraca do kraju, ogarnął taki niepokój, że po prostu - nie mógł sobie znaleźć miejsca.

W rozmowie był nieuważny, w towarzystwie cierpki. Gdy dla rozerwania się wziął jaki dziennik, zdawało mu się, że jest drukowany po polsku. Wszędzie na coś czekał, jakby lada chwila miał ukazać się ktoś jeszcze nie znany, ale - od dawna wyglądany. Na bulwarach, ponad tysiącem świateł i gwarnym mrowiskiem ludzi, widywał ciche równiny śniegiem pokryte, na horyzoncie czarne lasy, gdzieniegdzie małe domy ze słomianymi dachami albo stare krzyże przy drogach.

Miał jakby dwie dusze. Jedną wywodził z kraju, druga wyrosła w nim na obczyźnie i samowładnie rządziła przez lat czterdzieści kilka. Lecz nagle obudził się ów młody duch z całym zasobem wspomnień i pragnień. Było mu źle w Lyonie, źle w Paryżu, źle w teatrze, źle w pociągu. W dzień przeszkadzał myśleć, a w nocy - zdawało się pułkownikowi, że ktoś rzuca nim po łóżku, wygania go z pokoju, że w nim szlocha i krzyczy rozdzierającym głosem.

- Odwieź mnie tam, do moich!...

Starzec opuścił Paryż z wieloma osobami nie pożegnawszy się nawet, i dniem, i nocą jechał do kraju. Wyprostowana figura i charakterystyczne ruchy zwróciły uwagę Niemców, którzy przypatrując się śniadej, suchej twarzy, jego podciętym białym wąsom i białej muszce na brodzie odgadywali, że to musi być jakiś jenerał, a bodaj czy nie marszałek francuski.

- Pewnie jedzie z misją do Petersburga!... - szeptał Niemcy.

A że starzec wciąż wyglądał oknem, domyślali się, że bada niemieckie koleje, i - wróżyli wojnę na obu frontach.

Do granicy pociąg przyjechał nad ranem. Formalności paszportowe zabrały kilka godzin

czasu. Jedni pasażerowi jedli, inni drzemali. Pułkownik nie mógł ani jeść, ani spać; wyszedł na spacer za stacją.

Szedł wzdłuż toru drogi żelaznej, może wiorstę, a może i dalej. Zaczęło świtać. Na wschodzie ukazał się jasny pasek, który stopniowo wzrastał, aż całe niebo przybrało barwę zielonego szkła, poplamionego szarymi, białymi i bladoporóżowymi obłokami.

Po dusznej atmosferze bufetu chłodny wiatr orzeźwił starca, ale - nie uspokoił go. Pułkownikowi zdawało się, że gdy raz stanie na otwartym polu, w jego piersi nie wytrzyma tęsknota, wyrwie się i gdzieś odleci, jak gołąb wypuszczony z klatki. Lecz stało się inaczej: zamiast ukojenia, uczuł zdziwienie. Horyzont, niegdyś taki szeroki, wydał mu się ciasnym. Lasów nie widać, tylko tu i ówdzie sterczą dymiące kominy fabryk. Nie widać ani chat, ani ogrodów przy nich, tylko posępne, ceglane domy na śnieżnych wydmach. Nawet wiatr, zamiast szumieć między gałązkami wierzby, tłukł się o nieskończenie długi szereg słupów albo w telegraficznych dzwonekach płał jak zablakana sierota.

To już nie ta ziemia, którą przed pół wieku opuścił!...

Na dworcu zadzwoniono. Pułkownik ledwie zdążył zająć miejsce w wagonie - i pociąg ruszył.

Przez całą drogę starzec rozglądał się chcąc choć niejakaś nitkę nawiązać między rzeczywistością i wspomnieniami. Daremna praca! Inny kraj leży na dnie duszy, inny przed oczyma. Chłopi bez sukman, Żydzi bez lisich czapek, domy bez drzew, ziemia bez lasów. Nie był nawet pewny, czy ptaki nie straciły głosu.

Do Warszawy przyjechał już późno wieczór i umieścił się w drugorzędym hotelu, który z pozoru przypominał dawne "zajazdy". Lecz i tu spotkało go rozczarowanie. Zamiast prostych sprzętów, obitych włosieniem lub skórą, jakie bywały za jego czasów, zastał modne meble, obrazy kobiet z półświatka, popsute elektryczne dzwonki i służbę w poplamionych frakach. Nie był to już stary "zajazd", ale zagraniczny hotelik w złym gatunku.

Przespawszy noc jako tako pułkownik od rana wyszedł na miasto. Wziął dorożkę i kazał ob-

wozić się po wszystkich znanych niegdyś ulicach. Niepojęte zmiany... Znikły wysokie, w białe i czerwone pasy malowane słupy latarniowe, znikły dworki i rozległe ogrody, a miejsce ich zajęły szeregi ogromnych kamienic, zbudowanych po większej części bez ładu i smaku. Nawet tam, gdzie za jego czasów polowano na dzikie kaczkę, stało dziś miasto duże, ruchliwe, ale - jakieś inne...

Ludzi zupełnie nie poznawał, ani z ubiorów, ani z fizjonomii. Co dziwniejsza, chwilami raziło go to, że nie słyszy gwaru francuskich rozmów, do których przez pół wieku nawykło ucho!

Po tej przejażdżce uczył pustkę jeszcze większą niż we Francji i postanowił wejść w towarzystwo ludzi.

Miał tu znajomych między różnymi osobami, które spotykał w Paryżu albo u wód.

Zanotował kilka nazwisk i poprosił hotelowego szwajcara o wyszukanie adresów. Na drugi dzień przyniesiono mu tylko jeden adres człowieka dość majątnego, z którym przed dziesięcioma laty poznał się w Vichy.

Pułkownik natychmiast udał się do niego i szczęściem zastał w domu.

Gospodarz narazie nie poznał go, a poznawszy zmieszał się. Gorączkowo ściskając gościa, troskliwie począł go wypytywać, czy nie miał kłopotów z paszportem? - a gdy uspokoił się co do tej kwestii, zapytał, jak też długo myśli bawić w Warszawie?

- Chciałbym tu osiedlić się, o ile, naturalnie, uda mi się zawiązać stosunki - odparł pułkownik.

- O!... stosunki u nas zawiązują się łatwo. Znajdzie tu pan może nawet i swego koleżę...

- Któż to? ... - przerwał mu prędko starzec.

- Jest to także były oficer francuski. Biedaczysko!... przyjechał bez grosza i ledwo znalazł jakąś lichą posadę... Dziś nie może odżałować, że opuścił Francję. Och!... u nas bardzo trudno o zajęcie... tysiące młodzieży szuka go na próżno...

- No, ja tego nie potrzebuję - odparł gość, śmiejąc się pierwszy raz od paru miesięcy. - Mam trochę gotówki i emeryturę pułkownika.

Uśmiech tak widać ozdobił marsową twarz

starca, że gospodarz, poprzednio dość chłodny, nagle wpadł w entuzjazm. Porwał gościa w objęcia, kilkanaście razy nazwał go pułkownikiem, przypomniał mu mnóstwo przyjemnych chwil spędzonych razem w Vichy, przedstawił mu całą swoją rodzinę i zaklinał na wszystkie świętości, ażeby raczył uważać ten dom jak własny i ażeby jutro wieczorem zaszczycił go swoją wizytą.

- Będzie u nas parę osób - mówił zachwycony gospodarz - które z przyjemnością złożą hołd bohaterowi...

- Emerytowi! - poprawił go pułkownik.

Pomimo tak szczególnego przyjęcia pułkownik przyszedł na wieczór. W przedpokoju przyjął go sam gospodarz, ledwie nie zdjął mu kaloszy i z wielkim szumem wprowadził do salonu.

Był to wieczór tańczący, więc starzec znalazł od razu kilkadziesiąt osób. Porobił prędko znajomości z damami, z których jedna zapewniała, że pamięta kampanię włoską, choć mogła znać na palcach węgierską - druga dziwiła się, że opuścił "ten piękny Paryż", a najmłodsza zapytała nieśmiało: czy pan pułkownik nie tańczy już nawet kadryla? ...

Ponieważ przeszło siedemdziesięcioletni weteran już nie tańczył, więc gdy odezwała się muzyka, pomimo całego szacunku - zapomniała o nim. Żołnierz spod Solferino i Gravelotte musiał ustąpić bohaterom walca i kontredansa, tak samo jak we Francji.

Wyszedł do dalszych salonów; tam grano w karty. Gościnnie gospodarz ofiarował się w tej chwili zebrać mu towarzystwo do wista z dwu radców i jednego prezesa; ale starzec podziękował mu, może przez pamięć dla swoich ostatnich kolegów od wista.

Więc i tu przestano się nim zajmować, z czego pułkownik był kontent mogąc przypatrzeć się ludziom.

Przysłuchiwał się rozmowom. W jednym kącie mówiono o karnawale, w drugim o giełdowych kursach, w trzecim o pięci pięknej, w czwartym o polityce, a mianowicie o tym, że nas Niemcy nieodwołalnie zjedzą.

Do tej grupy przyłączył się pułkownik, ale rozmawiał niedługo. Przechodząc od kwestii do kwestii, usłyszał w końcu, że realna polityka

powinna traktować wojnę jak interes przemysłowy i że tylko taki szarlatan jak Napoleon III, mógł wojować za cudze sprawy, dla idei.

Toż samo niejednokrotnie słyszał we Francji - po cóż więc ją opuścił? ...

Starzec cichaczem wymknął się z balu i wrócił do swego zajazdu. Położywszy się do łóżka począł marzyć, trochę we śnie, trochę na jawie. Gdy znużony tracił chwilami świadomość, zdawało mu się, że przestał być człowiekiem, lecz że jest krzyżem na zapadającym się grobie, w którym spoczęli jego dawni kamraci. Gdy zaś ocknął się, szeptał:

- Po com ja tu wróciłem? ...

I uczył tęsknotę za Francją.

Na drugi dzień przypadała niedziela. Starzec wstał późno i ubierał się powoli namyślając się, kiedy wracać do Francji: dziś czy jutro? ... Tu był już obcym dla wszystkich i wszyscy dla niego.

Miał numer na dole. Gdy około dziesiątej podniósł roletę, spostrzegł, że przed jego oknem chodzi tam i na powrót jakiś ubogi odziany człowiek z małym chłopcem.

Był silny mróz, więc ubogi człowiek dla rozgrzania się tupał nogami w chodnik, uderzał się w ramiona albo rozcierał zsiniałe z zimna ręce

dziecku, które miało nieco przydługą surdut, słomiany kapelusz, nie obtarty nos i uszy podwiązane brudną chustką.

Ponieważ chodzący po podwórzu często spoglądał w okno pułkownika, starzec zwrócił na niego uwagę i spytał kelnera: co za jeden jest ten człowiek?

Kelner uśmiechnął się i odparł:

- To szewc!... Mieszka tu u nas pod strychem i chce swojemu chłopcu pokazać pana pułkownika...

- Mnie pokazać? ... A skądże on wie, kto ja jestem? ...

- Dowiedział się od służby...

Starzec zamyślił się, a tymczasem ubogi człowiek wciąż dreptał za jego oknem albo rozcierał zmarznięte rączyny dziecku.

Pułkownik miał iść na śniadanie do miasta. Ubrał się więc śpieszniej i zaciekawiony wyszedł na podwórze.

Na jego widok człowiek z dzieckiem stanął jak wryty. Wykręcił czapkę na bakier, zmarzczył brwi, wyprężył się i zacisnął pięści, co wyglądało tak, jak gdyby chciał rzucić się na pułkownika, ale według jego pojęć znaczyło oddanie honorów.



Ponieważ jego syn chuchał sobie przez ten czas w ręce, więc dla rozbudzenia uwagi uderzył chłopca pięścią w kark, a sam wciąż parzył na starca jak na wilka, myśląc, że postępuje według najściślejszych reguł wojskowej etykiety.

Starzec - zatrzymał się. Chciał coś przemówić do ubogo ubranego człowieka, ale brakło mu wyrazów, a przy tym - było na podwórzu trochę ludzi. Więc tylko spojrzeli sobie w oczy, i pułkownik z wolna poszedł w stronę ulicy.

Wtedy szewc odezwał się do dziecka:

- Wojtuś!...

- Abo co?

- Będziesz, hyclu, taki? ...

Bolesław Prus

KAMIZELKA

Niektórzy ludzie nają pociąg do zbierania osobliwości kosztowniejszych lub mniej kosztownych, na jakie kogo stać. Ja także posiadam zbiorek, lecz skromny, jak zwykle w początkach.

Jest tam mój dramat, który pisałem jeszcze w gimnazjum na lekcjach języka łacińskiego... Jest kilka zasuszonych kwiatów, które trzeba będzie zastąpić nowymi, jest...

Zdaje się, że nie ma nic więcej, oprócz pewnej bardzo starej i zniszczonej kamizelki.

Oto ona. Przęd spłowiały, a tył przetarty. Dużo plam, brak guzików, na brzegu dziurka, wypalona zapewne papierosem. Ale najciekawsze są w niej ściągacze. Ten, na którym znajduje się sprzączka, jest skrócony i przyszyty do kamizelki wcale nie po krawiecku, a ten drugi, prawie na całej długości jest pokuty zębami sprzączki.

Patrząc na to od razu domyślasz się, że właściciel odzienia zapewne co dzień chudnął i wreszcie dosięgnął tego stopnia, na którym kamizelka przestaje być niezbędną, ale natomiast okazuje się bardzo potrzebnym zapięty pod szyję frak z magazynu pogrzebowego.

- Co nie mam być, o! jej!... - odparło dziecko z zawałanym nosem.

- Pamiętaj, żebyś był, bobym ci zęby powybił, choć urośniesz!...

Tymczasem pułkownik poszedł na śniadanie, ale jadł niewiele, bo śpieszył się. Potem wybiegł do miasta i wkrótce - wynajął sobie prywatne mieszkanie.

Brzydkie kamienice i nowi ludzie już go nie razili. A gdy wypadkiem mijał ulicę Karową i z niej spojrzął na Wisłę, zobaczył znowu taki rozległy horyzont jak niegdyś, takie same lasy i uczył ten orzeźwiający powiew, którego mu brakowało przez pół wieku.

"Zostanę tu!" - pomyślał.

Wyznaję, że dziś chętnie odstąpiłbym komu ten szmat sukna, który mi robi trochę kłopotu. Szaf na zbiory jeszcze nie mam, a nie chciałbym znowu trzymać chorej kamizelczyny między własnymi rzeczami. Był jednak czas, żem ją kupił za cenę znakomicie wyższą od wartości, a dałbym nawet i drożej, gdyby umiano się targować. Człowiek miewa w życiu takie chwile, że lubi otaczać się przedmiotami, które przypominają smutek.

Smutek ten nie gnieździł u mnie, ale w mieszkaniu bliskich sąsiadów. Z okna mogłem co dzień spoglądać do wnętrza ich pokoju.

Jeszcze w kwietniu było ich troje: pan, pani i mała służąca, która sypiała, o ile wiem, na kuferku za szafą. Szafa była ciemnowiśniowa. W lipcu, jeżeli mnie pamięć nie zawodzi, zostało ich tylko dwoje: pani i pan, bo służąca przeniosła się do takich państwa, którzy płacili jej trzy ruble na rok i co dzień gotowali obiady.

W październiku została już tylko - pani, sama jedna. To jest niezupełnie sama, ponieważ w pokoju znajdowało się jeszcze dużo sprzętów: dwa łóżka, stół, szafa... Ale na początku listopada sprzedano z licytacji niepotrzebne rzeczy, a przy pani ze wszystkich pamiątek po mężu została tylko kamizelka, którą obecnie posiadam.

Lecz w końcu listopada, pewnego dnia pani zawołała do pustego mieszkania handlarza starzyzny i sprzedała mu swój parasol za dwa zło-

te i kamizelkę po mężu za czterdzieści groszy. Potem zamknęła mieszkanie na klucz, powoli przeszła dziedziniec, w bramie oddała klucz stróżowi, chwilę popatrzyła na swoje niegdyś okno, na które padały drobne płatki śniegu, i - znikła za bramą.

Na dziedzińcu został handlarz starzyzny. Podniósł do góry wielki kołnierzą kapoty, pod pachę wetknął dopiero co kupiony parasol i owinąwszy w kamizelkę ręce czerwone z zimna, mruzczał:

- Handel, panowie... handel!...

Zawołałem go.

- Pan dobrodziej ma co do sprzedania? - zapytał wchodząc.

- Nie, chcę od ciebie coś kupić.

- Pewnie wielmożny pan chce parasol?... - odparł Żydek.

Rzucił na ziemię kamizelkę, otrząsnął śnieg z kołnierza i z wielką usilnością począł otwierać parasol.

- A fajny mebel!... - mówił. - Na taki śnieg, to tylko taki parasol... Ja wiem, że wielmożny pan może mieć całkiem jedwabny parasol, nawet ze dwa. Ale to dobre tylko na lato!...

- Co chcesz za kamizelkę? - spytał.

- Jake kamizelkie?... odparł zdziwiony myśląc zapewne o swojej własnej.

Ale wnet opamiętał się i szybko podniósł leżącą na ziemi.

- Za te kamizelkie?... - Pan dobrodziej pyta się o te kamizelkie?...

A potem, jakby zbudziło się w nim podejrzenie, spytał:

- Co wielmożnego pana po take kamizelkie?...

- Ile chcesz za nią?

Żydowi błysnęły żółte białka, a koniec wyciągniętego nosa poczerwieniał jeszcze bardziej.

- Da wielmożny pan... rubelka! - odparł, roztaczając mi przed oczyma towar w taki sposób, ażeby okazać wszystkie jego zalety.

- Dam ci pół rubla.

- Pół rubla? ... taki ubjór? ... To nie może być! - mówił handlarz.

- Ani grosza więcej.

- Niech wielmożny pan żartuje zdrow!... rzekł klepiąc mnie po ramieniu. - Pan sam wi, co ta-

ka rzecz jest warta. To przecie nie jest ubjór na małe dziecko, to jest na dorosłe osoby...

- No, jeżeli nie możesz oddać za pół rubla, to już idź. Ja więcej nie dam.

- Ino niech się pan nie gniewa! - przerwał mięknąc. - Na moje sumienie, za pół rubelka nie mogę, ale - ja zdaję się na pański rozum... Niech pan sam powie: co to jest wart, a ja się zgodzę!... Ja wolę dołożyć, byle to się stało, co pan chce.

- Kamizelka jest warta pięćdziesiąt groszy, a ja ci daję pół rubla.

- Pół rubla?... Niech będzie już pół rubla!... - westchnął wpychając mi kamizelkę w ręce. - Niech będzie moja strata, byle ja z gęby nie robił... ten wiatr...

I wskazał ręką na okno, za którym kłębił się tuman śniegu.

Gdym sięgnął po pieniądze, handlarz, widocznie coś przypomniał sobie, wyrwał mi jeszcze raz kamizelkę i począł szybko rewidować jej kieszonki.

- Czegoż ty tam szukasz?

- Możem co zostawił w kieszeni, nie pamiętam! - odparł najnaturalniejszym tonem, a zwracając mi nabytek dodał:

- Niech jaśnie pan dołoży choć z dziesiątkę!...

- No, bywaj zdrow! - rzekłem otwierając drzwi.

- Upadam do nóg!... Mam jeszcze w domu bardzo porządne futro...

I jeszcze zza progu wytknąwszy głowę zapytał:

- A może wielmożny pan każe przynieść serki owczych? ...

W parę minut znowu wołał na podwórzu: "Handel! handel!..." - a gdym stanąłem w oknie, ukłonił mi się z przyjacielskim uśmiechem.

Śnieg zaczął tak mocno padać, że prawie zmierzchno się. Położyłem kamizelkę na stole i począłem marzyć to o pani, która wyszła za bramę nie wiadomo dokąd, to o mieszkaniu, stojącym pustką obok mego, to znowu o właścicielu kamizelki, nad którym coraz gęstsza warstwa śniegu narasta...

Jeszcze trzy miesiące temu słyszałem, jak w pogodny dzień wrześniowy rozmawiali ze sobą. W maju pani raz nawet - nuciła jakąś pio-

senkę, on śmiał się czytając "Kuriera Świątecznego". A dziś...

Do naszej kamienicy sprowadzili się na początku kwietnia. Wstawali dość rano, pili herbatę z blaszanego samowaru i razem wychodzili do miasta. Ona na lekcje, on do biura.

Był to drobny urzędniczek, który na naczelników wydziałowych patrzył z takim podziwem, jak podróżnik na Tatry. Za to musiał dużo pracować, po całych dniach. Widywałem nawet go i o północy, przy lampie, zgiętego nad stolikiem.

Żona zwykle siedziała przy nim i szyła. Niekiedy spojrzawszy na niego przerywała swoją robotę i mówiła tonem upominającym:

- No, już dość będzie, połóż się spać. A ty kiedy pójdziesz spać?...

- Ja... jeszcze tylko dokończę parę ściegów...

- No... to i ja napiszę parę wierszy...

Znowu oboje pochylali głowy i robili swoje. I znowu po jakimś czasie pani mówiła:

- Kładź się!... kładź się!...

Niekiedy na jej słowa odpowiadał mój zegar wybijając pierwszą.

Byli to ludzie młodzi: ani ładni, ani brzydzy, w ogóle spokojni. O ile pamiętam, pani była znacznie szczuplejsza od męża, który miał budowę wcale tęgą. Powiedziałbym, że nawet za tęgą na tak małego urzędnika

Co niedzielę, około południa, wychodzili na spacer trzymając się pod rękę i wracali do domu późno wieczór. Obiad zapewne jedli w mieście. Raz spotkałem ich przy bramie, oddzielającej Ogród Botaniczny od Łazienek. Kupili sobie dwa kufle doskonałej wody i dwa duże pierniki, mając przy tym spokojne fizjonomie mieszczan, którzy zwykli jadać przy herbacie gorącą szynkę z chrzanem.

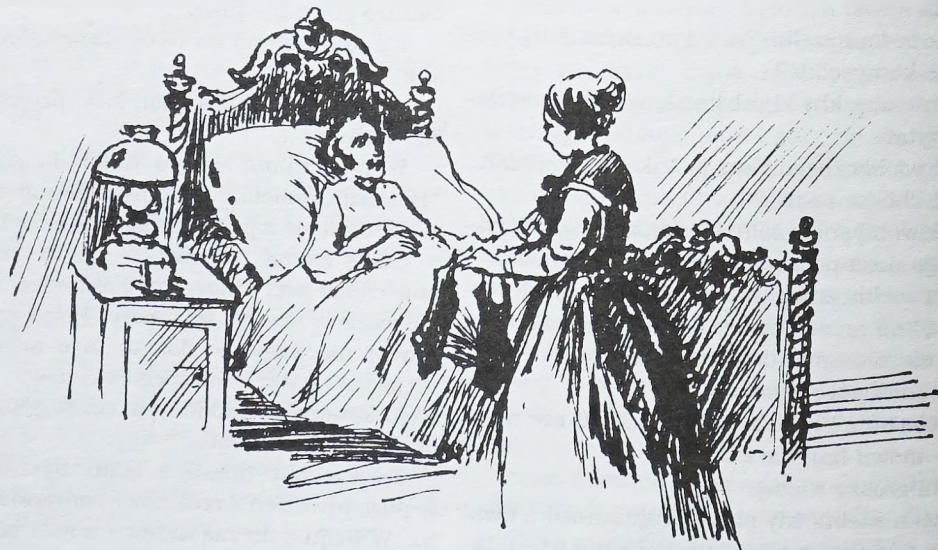
W ogóle biednym ludziom niewiele potrzeba do utrzymania duchowej równowagi. Trochę żywności, dużo roboty i dużo zdrowia. Reszta sama się jakoś znajduje.

Moim sąsiadom, o ile się zdaje, nie brakło żywności, a przynajmniej roboty. Ale zdrowie nie zawsze dopisywało.

Jakoś w lipcu pan zaziębił się, zresztą nie bardzo. Dziwnym jednak zbiegiem okoliczności dostał jednocześnie tak silnego krowotoku, że aż stracił przytomność.

Było to już w nocy. Żona, utuliwszy go na łóżku, sprowadziła do pokoju stróżową, a sama pobiegła po doktora. Dowiadywała się o pięciu, ale znalazła ledwie jednego i to wypadkiem, na ulicy.

Doktor, spojrzawszy na nią przy blasku migotliwej latarni, uznał za stosowne ją przede wszystkim uspokoić. A ponieważ chwilami zataczała się zapewne ze zmęczenia, a dorożki na



ulicy nie było, więc podał jej rękę i idąc tłumaczył, że krwotok jeszcze niczego nie dowodzi.

- Krwotok może być z krtani, z żołądka, z nosa, z płuc rzadko kiedy. Zresztą, jeżeli człowiek zawsze był zdrow, nigdy nie kaszlał...

- O, tylko czasami! - szepnęła pani zatrzymując się dla nabrania tchu.

- Czasami? to jeszcze nic. Może mieć lekki katar oskrzeli.

- Tak... to katar! - powtórzyła pani, już głośno.

- Zapalenia płuc nigdy nie miał?...

- Owszem!... - odparła pani znowu stając.

Trochę się nogi pod nią chwiały.

- Tak, ale zapewne już dawno?... - podchwycił lekarz.

- O, bardzo... bardzo dawno!... - potwierdziła z pośpiechem. - Jeszcze tamtej zimy.

- Półtora roku temu.

- Nie... Ale jeszcze przed Nowym Rokiem... O, już dawno!

- A!... Jaka to ciemna ulica, a w dodatku niebo trochę zasłonięte... - mówił lekarz.

Weszli do domu. Pani z trwogą zapytała stróża: co słyhać? - i dowiedziała się, że nic. W mieszkaniu stróżowa także powiedziała jej, że nic nie słyhać, a chory drzemał.

Lekarz ostrożnie obudził go, wybałał i także powiedział, że to nic.

- Ja zaraz mówiłem, że to nic! - odezwał się chory.

- O, nic!... - powtórzyła pani ściskając jego spotniałe ręce. - Wiem przecie, że krwotok może być z żołądka albo z nosa. U ciebie pewnie z nosa... Tyś taki tęgi, potrzebujesz ruchu, a ciągle siedzisz... Prawda, panie doktorze, że on potrzebuje ruchu? ...

- Tak! tak!... Ruch jest w ogóle potrzebny, ale małżonek pani musi parę dni poleżeć. Czy może pojechać na wieś?

- Nie może... - szepnęła pani ze smutkiem

- No - to nic! Więc zostanie w Warszawie. Ja będę go odwiedzał, a tymczasem - niech sobie poleży i odpocznie.

Gdyby się zaś krwotok powtórzył... - dodał lekarz.

- To co, panie? - spytała żona blednąc jak wosk.

- No, to nic. Mąż pani wypocznie, tam się zasklepi...

- Tam... w nosie? - mówiła pani składając przed doktorem ręce.

- Tak... w nosie! Rozumie się. Niech się pani uspokoi, a resztę zdać na Boga. Dobranoc!

Słowa doktora tak uspokoiły panią, że po trwodze, jaką przechodziła od kilku godzin, zrobiło się jej prawie wesoło.

- No, i cóż to tak wielkiego - rzekła, trochę śmiejąc się, a trochę poplakując.

Uklękła przy łóżku chorego i zaczęła całować go po rękach.

- Cóż tak wielkiego! - powtórzył pan cicho i uśmiechnął się. - Ile to krwi na wojnie z człowiekiem upływa, a jednak jest potem zdrow!...

- Już tylko nic nie mów - prosiła go pani.

Na dworze zaczęło świtać. W lecie, jak wiadomo, noce są bardzo krótkie.

Choroba przeciągnęła się znacznie dłużej, niż myślano. Mąż nie chodził już do biura, co mu tym mniej robiło kłopotu, że jako urzędnik najemny nie potrzebował brać urlopu, a mógł wrócić, kiedy by mu się podobało i - o ile znalazłby miejsce. Ponieważ, gdy siedział w mieszkaniu, był zdrowszy, więc pani wystarała się jeszcze o kilka lekcji na tydzień i za ich pomocą opędzała domowe potrzeby.

Wychodziła zwykle do miasta o ósmej rano. Około pierwszej wracała na parę godzin do domu, ażeby ugotować mężowi obiad na maszynce, a potem znowu wybiegała na jakiś czas.

Za to już wieczory spędzali razem. Pani zaś, aby nie próżnować, brała trochę więcej szycia.

Jakoś w końcu sierpnia spotkała się pani z doktorem na ulicy. Długo chodzili razem. W końcu pani schwyciła doktora za rękę i rzekła błagalnym tonem:

- Ale swoją drogą niech pan do nas przychodzi. Może też Bóg da!... On tak się uspokaja po każdej pańskiej wizycie...

Doktor obiecał, a pani wróciła do domu jakby splakana. Pan też, skutkiem przymusowego siedzenia, zrobił się jakiś drażliwy i zwątpiały. Zaczął wymawiać żonie, że jest zanadto o niego troskliwa, że on mimo to umrze, a w końcu zapytał:

- Czy nie powiedział ci doktor, że ja nie przeżyję kilku miesięcy?

Pani zdrętwiała.

- Co ty mówisz? - rzekła. - Skąd ci takie myśli?...

Chory wpadł w gniew.

- Oo, chodźże tu do mnie, tu!... - mówił gwałtownie, chwytając ją za ręce. - Patrz mi prosto w oczy i odpowiadaj: nie mówił ci doktor?

I utopił w niej rozgorączkowane spojrzenie. Zdawało się, że pod tym wzrokiem mur wyszeptalby tajemnicę, gdyby ją posiadał.

Na twarzy kobiety ukazał się dziwny spokój. Uśmiechała się łagodnie wytrzymując to dzikie spojrzenie. Tylko jej oczy jakby szkłem zaszyły.

- Doktor mówił - odparła - że to nic, tylko że musisz trochę wypocząć ...

Mąż nagle puścił ją, zaczął drzeć i śmiać się, a potem machając ręką rzekł:

- No, widzisz, jakim ja nerwowym!... Koniecznie ubrdało mi się, że doktor zwątpił o mnie... Ale... przekonałaś mnie... Już jestem spokojnym!...

I coraz weselej śmiał się ze swoich przywidzeń.

Zresztą taki atak podejrzliwości nigdy się już nie powtórzył. Łagodny spokój żony był przecie najlepszą dla chorego wskazówką, że stan jego nie jest złym.

Bo i z jakiej racji miał być zły?

Był wprawdzie kaszel, ale - to z kataru oskrzeli. Czasami, skutkiem długiego siedzenia pokazywała się krew - z nosa. No, miewał też jakby gorączkę, ale właściwie nie była to gorączka, tylko - taki stan nerwowy.

W ogóle czuł się coraz zdrowszym. Miał nieprzpartą chęć do jakichś dalekich wycieczek, lecz - trochę sił mu brakło. Przyszedł nawet czas, że w dzień nie chciał leżeć w łóżku, tylko siedział na krześle ubrany, gotowy do wyjścia, byle go opuściło to chwilowe osłabienie.

Niepokoił go tylko jeden szczegół.

Pewnego dnia kładąc kamizelkę uczył, że jest jakoś bardzo luźna.

- Czyżbym aż tak schudł?... szepnął.

- No, naturalnie, że musiałeś trochę zmizernieć - odparła żona. - Ale przecie nie można przesadzać...

Mąż bacznie spozjrzał na nią. Nie oderwała nawet oczu od roboty. Nie, ten spokój nie mógł

być udany!... Żona wie od doktora, że on nie jest tak znowu bardzo chory, więc nie ma powodu martwić się.

W początkach września nerwowe stany, podobne do gorączki, występowały coraz silniej, prawie po całych dniach.

- To głupstwo! - mówił chory. - Na przejściu od lata do jesieni najzdrowszemu człowiekowi trafia się jakieś rozdrażnienie, każdy jest nieswoj... To mnie tylko dziwi: dlaczego moja kamizelka leży na mnie coraz luźniej?... Strasznie musiałem schudnąć, i naturalnie dopóty nie mogę być zdrowym, dopóki mi ciała nie przybędzie, to darmo!...

Żona bacznie przysłuchiwała się temu i musiała przyznać, że mąż ma słuszość.

Chory co dzień wstawał z łóżka i ubierał się, pomimo że bez pomocy żony nie mógł wciągnąć na siebie żadnej sztuki ubrania. Tyle przynajmniej wymogła na nim, że na wierzch nie kładł surduta, tylko paltot.

- Dziwić się tu - mówił nieraz patrząc w lustro - dziwić się tu, że ja nie mam sił. Ależ ja wyglądam!...

- No, twarz zawsze łatwo się zmienia - wtrąciła żona.

- Prawda, tylko że i ja w sobie chudnę...

- Czy ci się nie zdaje? - spytała pani z akcentem wielkiej wątpliwości.

Zamyślił się.

- Ha! może i masz rację... Bo nawet... od kilku dni uważam, że... coś... moja kamizelka...

- Dajże spokój! - przerwała pani - przecież nie utyleś...

- Kto wie? Bo, o ile uważam po kamizelce, to...

- W takim razie powinny by ci wracać siły.

- Oho, chciałybyś tak zaraz... Pierwej muszę przecież choć cokolwiek nabrać ciała. Nawet powiem ci, że choć i odzyskam ciało, to i wtedy jeszcze nie nabiorę sił.

A co ty tam robisz za szafą?... - spytał nagle.

- Nic. Szukam w kufrze ręcznika, a nie wiem... czy jest czysty.

- Nie wysilajże się tak, bo aż ci się głos zmienia... To przecież ciężki kufer...

Istotnie, kufer musiał być ciężki, bo pani aż porobiły się wypieki na twarzy. Ale była spokojna.

Odtąd chory coraz pilniejszą zwracał uwagę na swoją kamizelkę. Co parę dni wołał do siebie żonę i mówił:

- No... patrzajże... Sama się przekonaj: wczoraj mogłem tu jeszcze włożyć palec, o - tu... A dziś już nie mogę. Ja istotnie zaczynam nabierać ciała!...

Ale pewnego dnia radość chorego nie miała granic. Kiedy żona wróciła z lekcji, powitał ją z błyszczącymi oczyma i rzekł bardzo wzruszony:

- Posłuchaj mnie, powiem ci jeden sekret... Ja z tą kamizelką, widzisz, trochę szachrowałem. Ażeby ciebie uspokoić, co dzień sam ściągałem pasek, i dlatego - kamizelka była ciasna... Tym sposobem dociągnąłem wczoraj pasek do końca. Już martwiłem się, myśląc, że się wyda sekret, gdy wtem dziś... Wiesz, co ci powiem? ... Ja, dziś, daję ci najświętsze słowo, zamiast ściągnąć pasek, musiałem go trochę rozluźnić ... Było mi formalnie ciasno, choć jeszcze wczoraj było cokolwiek luźniej...

No, teraz i ja wierzę, że będę zdrow... Ja sam!... Niech doktor myśli, co chce...

Długa mowa tak go wysiliła, że musiał przejść na łóżko. Tam jednak, jako człowiek, który bez ściągania pasków zaczyna nabierać ciała, nie położył się, ale jak w fotelu oparł się w objęciach żony.

- No, no!... - szeptał - kto by się spodziewał?... Przez dwa tygodnie oszukiwałem moją żonę, że kamizelka jest za ciasna, a ona dziś naprawdę sama ciasna!...

- No... no!...

I przesiadzieli tuląc się jedno do drugiego cały wieczór.

Chory był wzruszony jak nigdy.

- Mój Boże! - szeptał całując żonę po rękach - a ja myślałem, że już tak będę chudnął do... końca. Od dwu miesięcy, dziś dopiero, pierwszy raz, uwierzyłem w to, że mogę być zdrow.

Bo to przy chorym wszyscy kłamią, a żona najwięcej. Ale kamizelka - ta już nie skłamię.

Dziś patrząc na starą kamizelkę widzę, że nad jej ściągaczami pracowały dwie osoby. Pan - co dzień posuwał sprzączkę, ażeby uspokoić żonę, a pani co dzień - skracała pasek, aby mężowi dodać otuchy.

"Czy znowu zejda się kiedy oboje, ażeby powiedzieć sobie cały sekret o kamizelce?..." - myślałem patrząc na niebo.

Nieba prawie już nie było nad ziemią. Padał tylko śnieg, taki gęsty i zimny, że nawet w grobach marzły ludzkie popioły.

Któż jednak powie, że za tymi chmurami nie ma słońca?...



Ulica Królewska
- rys. Stanisław Wolski.

Bolesław Prus

Z LEGEND DAWNEGO EGIPTU

Patrzcie, jak marne są ludzkie nadzieje wobec porządku świata; patrzcie, jak marne, są wobec wyroków, które ognistymi znakami wypisał na niebie Przedwieczny!...

Stuletni Ramzes, potężny władca Egiptu, dogorywał. Na pierś mocarza, przed którego głosem pół wieku drżały miliony, padła dusząca zmora i wypijała mu krew z serca, siłę z ramienia, a chwilami nawet przytomność z mózgu. Leżał, jak powalony cedr, wielki faraon na skórze indyjskiego tygrysa, okrywony nogi triumfalnym płaszczem króla Etiopów. A surowy nawet dla siebie, zawołał najmędrszego lekarza ze świątyni w Karnaku i rzekł:

- Wiem, że znasz tegie lekarstwa, które albo zabijają, albo od razu leczą. Przyrządź mi jedno

z nich, właściwe mojej chorobie, i niech mi się to raz skończy... tak albo owak.

Lekarz wahał się.

- Pomyśl, Ramzesie - szepnął - że od chwili twego zstąpienia z wysokich niebios Nil wylewał już sto razy; mogeż ci zadać lekarstwo, niepewne nawet dla najmłodszego z twoich wojowników?

Ramzes usiadł na łożu.

- Muszę być bardzo chory - zawołał - kiedy ty, kapłanie, ośmielasz się dawać mi rady! Milcz i spełnij, com kazał. Żyje przecież trzydziestoletni wnuk mój i następca, Horus. Egipt zaś nie może mieć władcy, który by nie dosiadł wozu i nie dźwignął oszczepu.

Gdy kapłan drżąca ręką podał mu straszne lekarstwo, Ramzes wypił je, jak spragniony pije kubek wody; potem zawołał do siebie najsłynniejszego astrologa z Tebów i kazał szczerze opowiedzieć, co tam pokazują gwiazdy.

- Saturn połączył się z księżycem - odparł mędrzec - co zapowiada śmierć członka twojej dynastii, Ramzesie. Żle zrobiłeś pijąc dzisiaj lekarstwo, bo puste są ludzkie plany wobec wyroków, które na niebie zapisuje Przedwieczny.

- Naturalnie, że gwiazdy zapowiedziały moją śmierć - odparł Ramzes. - I kiedyż to może nastąpić? - zwrócił się do lekarza.

- Przed wschodem słońca, Ramzesie, albo będziesz zdrów jak nosorożec, albo twój święty pierścień znajdzie się na ręku Horusa.

- Zaprowadźcie - rzekł Ramzes cichnącym już głosem - Horusa do sali faraonów; niech tam czeka na moje ostatnie słowa i na pierścień, ażeby w sprawowaniu władzy ani na chwilę nie było przerwy.

Zapłakał Horus (miał on serce pełne litości) nad bliską śmiercią dziada; ale że w sprawowaniu władzy nie mogło być przerwy, więc poszedł do sali faraonów, otoczony liczną zgrają służby.

Usiadł na ganku, którego marmurowe schody biegły w dół, aż do rzeki, i pełen nieokreślonych smutków przypatrywał się okolicy.



Faraon.

Właśnie księżyc, przy którym tliła się złowroga gwiazda Saturn, złościł spiżowe wody Nilu, na łąkach i ogrodach malował cienie olbrzymich piramid i na kilka mil wokoło oświetlał całą dolinę. Mimo późnej nocy w chatach i gmachach płonęły lampy, a ludność pod otwarte niebo wyszła z domów. Po Nilu snuły się łódki gęsto jak w dzień świąteczny; w palmowych lasach, nad brzegami wody, na rynkach, na ulicach i obok pałacu Ramzesa falował niezliczony tłum. A mimo to była cisza taka, że do Horusa dolatywał szmer wodnej trzciny, i jękliwe wycie szukających żeru hien.

- Czemu oni tak się gromadzą? - spytał Horus jednego z dworzan wskazując na niezmiernie gęste łany głów ludzkich.

- Chcą w tobie, panie, przywitać nowego faraona i z twoich ust usłyszeć o dobrodziejstwach, jakie im przeznaczyłeś.

W tej chwili pierwszy raz o serce księcia uderzyła duma wielkości, jak o stromy brzeg uderza nadbiegające morze.

- A tamte światła co znaczą? - pytał dalej Horus.

- Kapłani poszli do grobu twojej matki, Zefory, ażeby zwłoki jej przenieść do faraonskich katakumb.

W sercu Horusa na nowo zbudził się żal po matce, której szczątki - za miłosierdzie okazwane niewolnikom - srogi Ramzes pogrzebał między niewolnikami.

- Słyszę rzenie koni - rzekł Horus nasłuchując - kto wyjeżdża o tej godzinie?

- Kanclerz, panie, kazał przygotować gońców po twojego nauczyciela, Jetrona.

Horus westchnął na wspomnienie ukochanego przyjaciela, którego Ramzes wygnał z kraju za to, że w duszy wnuka i następcy szczepił odrazę do wojen, a litość dla uciśnionego ludu.

- A tamto światelko za Nilem? ...

- Tamtym światłem, o Horusie! - odparł dworzanie - pozdrawia cię z klasztornej więzienia wierna Berenika. Już arcykapłan wysłał po nią łódź faraonską; a gdy święty pierścień błysnie na twojej ręce, otworzą się ciężkie drzwi klasztorne i powróci do ciebie, stęskniona i kochająca.

Usłyszawszy takie słowa, Horus już o nic nie pytał; umilkł i zakrył oczy ręką.

Nagle syknął z bólu.

- Co ci jest, Horusie?

- Pszczoła ukąsiła mię w nogę - odparł pobladły książę.

Dworzanie przy zielonawym blasku księżyca obejrzał mu nogę.

- Podziękuj Ozyrysowi - rzekł - że to nie pajak, których jad o tej porze bywa śmiertelny.

O! jakże marne są ludzkie nadzieje wobec nieocfniętych wyroków...

W tej chwili wszedł wódz armii i skłoniwszy się Horusowi powiedział:

- Wielki Ramzes, czując, że mu już stygnie ciało, wysłał mnie do ciebie z rozkazem: "Idź do Horusa, bo mnie niedługo na świecie, i spełniaj jego wolę, jak moją spełniałeś. Choć by kazał ci ustąpić Górny Egipt Etiopom i zawrzeć z tymi wrogami braterski sojusz, wykonaj to, gdy mój pierścień ujrzyś na jego ręce, bo przez usta władców mówi nieśmiertelny Ozyrys".

- Nie oddam Egiptu Etiopom - rzekł książę - ale zawrę pokój, bo mi żal krwi mego ludu; napisz zaraz edykt i trzymaj w garści konnych gońców, aby, gdy błysną pierwsze ognie na cześć moją, polecili w stronę południowego słońca i zanieśli łaskę Etiopom. I napisz jeszcze drugi edykt, że od tej godziny aż do końca czasów żadnemu jeńcowi nie ma być wyrwany język z ust jego na polu bitwy. Tak powiedziałem...

Wódz upadł na twarz, a potem cofnął się, aby pisać rozkazy; książę zaś polecił dworzaniowi znowu obejrzeć swoją ranę, gdyż bardzo go bolała.

- Trochę spuchła ci noga, Horusie - rzekł dworzanie. - Cóż by się stało, gdyby zamiast pszczoły ukąsił cię pajak!...

Teraz wszedł do sali kanclerz państwa i skłoniwszy się księciu mówił:

- Potężny Ramzes widząc, że już mu się wzrok zaćmiewa, odesłał mnie do ciebie z rozkazem: "Idź do Horusa i ślepo spełniaj jego wolę. Choć by ci kazał spuścić z łańcucha niewolników, a lud obdarować wszystką ziemią, uczynisz to, gdy zobaczysz na jego ręce mój święty pierścień, bo przez usta władców mówi nieśmiertelny Ozyrys".

- Tak daleko nie sięga serce moje - rzekł Horus. - Ale zaraz napisz mi edykt, jako ludowi

zniża się czynsz dzierżawny i podatki o połowę, a niewolnicy będą mieli trzy dni na tydzień wolne od pracy i bez wyroku sądowego nie będą bici kijem po grzbietach. I jeszcze napisz edykt, odwołujący z wygnania mego nauczyciela, Jertrona, który jest najmędrszym i najszlachetniejszym z Egipcjan. Tak powiedziałem...

Kanclerz upadł na twarz, lecz nim zdążył cofnąć się dla napisania edyktów, wszedł arcykapłan.

- Horusie - rzekł - lada chwila wielki Ramzes odejdzie do państwa cieniów i serce jego na nieomylną szalę zważy Ozyrys. Gdy zaś święty pierścień faraonów błysnie na twojej ręce, rozkazuj, a słuchać cię będę, choć byś obalić miał cudną świątynię Amona, bo przez usta władców mówi nieśmiertelny Ozyrys.

- Nie burzyć - odparł Horus - ale wznosić będą nowe świątynie i zwiększać skarbiec kapłański. Żądam tylko, abyś napisał edykt o uroczystym przewiezieniu zwłok matki mojej Zefory do katakumb, i drugi edykt... o uwolnieniu ukochanej Bereniki z klasztornej więzienia. Tak powiedziałem...

- Mądrze poczynasz - odparł arcykapłan. - Do spełnienia tych rozkazów wszystko już przygotowane, a edykty zaraz napiszę; gdy ich dotkniesz pierścieniem faraonów, zapalę tę oto lampę, aby zwiastowała ludowi łaski, a twojej Berenice wolność i miłość.

Wszedł najmędrszy lekarz z Karnaku.

- Horusie - rzekł - nie dziwi mnie twoja bladeńść, gdyż Ramzes, dziad twój, już kona. Nie mógł znieść potęgi lekarstwa, którego mu dać nie chciałem, ten mocarz nad mocarze. Został więc przy nim tylko zastępca arcykapłana, aby, gdy umrze, zdjąć święty pierścień z jego ręki i tobie go oddać na znak nieograniczonej władzy. Ale ty bledniesz coraz mocniej, Horusie? ... - dodał.

- Obejrzyj mi nogę - jęknął Horus i upadł na złote krzesło, którego poręcze wyrzeźbione były w formę głów jastrzębich.

Lekarz ukląkł, obejrzał nogę i cofnął się przerażony.

- Horusie - szepnął - ciebie ukąsił pająk bardzo jadowity.

- Miałbym umrzeć?... w takiej chwili?... -

spytał ledwie dosłyszalnym głosem Horus.

A później dodał:

- Prędkoż to może się stać?... powiedz prawdę.

- Nim księżyc schowa się za tę oto palmę...

- Ach tak!... A Ramzes długo jeszcze żyć będzie?...

- Czy ja wiem?... Może już niosą ci jego pierścienia.

W tej chwili weszli ministrowie z gotowymi edyktami.

- Kanclerz! - zawołał Horus chwytając go za rękę - czy, gdybym zaraz umarł, spełnilibyście moje rozkazy?...

- Dożyj, Horusie, wieku twego dziada! - odparł kanclerz. - Lecz gdybyś nawet zaraz po nim stanął przed sądem Ozyrysa, każdy twój edykt będzie wykonany, byleś go dotknął świętym pierścieniem faraonów.

- Pierścieniem! - powtórzył Horus - ale gdzie on jest?...

- Mówił mi jeden z dworzan - szepnął naczelny wódz - że wielki Ramzes już wydaje ostatnie tchnienie.

- Posłałem do mego zastępcy - dodał arcykapłan - aby natychmiast, gdy Ramzesowi serce bić przestanie, zdjął pierścienia.

- Dziękuję wam!... - rzekł Horus. - Żal mi... ach, jak żal... Ale przecież nie wszystek umrę... Zostaną po mnie błogosławieństwa, spokój, szczęście ludu, i... moja Berenika odzyska wolność... Długo jeszcze? ... - spytał lekarza.

- Śmierć jest od ciebie na tysiąc kroków żołnierskiego chodu - odparł smutno lekarz.

- Nie słyszycie, nikt stamtąd nie idzie?... - mówił Horus.

Milczenie.

Księżyc zbliżał się do palmy i już dotknął pierwszych jej liści; miałki piasek cicho szeleścił w klepsydrach.

- Daleko?... - szepnął Horus.

- Osiemset kroków - odparł lekarz - nie wiem, Horusie, czy zdążysz dotknąć wszystkich edyktów świętym pierścieniem, choć by ci go zaraz przynieśli...

- Podajcie mi edykty - rzekł ksiązę nasłuchując, czy nie biegnie kto z pokojów Ramzesa. - A ty, kapłanie - zwrócił się do lekarza - mów, ile

mi życia zostaje, abym mógł zatwierdzić przynajmniej najdroższe mi zlecenia.

- Sześćset kroków - szepnął lekarz.

Edykt o zmniejszaniu czynszów ludowi i pracy niewolnikom wypadł z rąk Horusa na ziemię.

- Pięćset...

Edykt o pokoju z Etiopami zsunął się z kolan księcia.

- Nie idzie kto? ...

- Czterysta... - odpowiedział lekarz.

Horus zamyślił się, i... spadł rozkaz o przeniesieniu zwłok Zefory.

- Trzysta...

Ten sam los spotkał edykt o odwołaniu Jertrona z wygnania.

- Dwieście...

Horusowi zsiniały usta. Skurczoną ręką rzucił na ziemię edykt o niewyrywaniu języków wziętym do niewoli jeńcom, a zostawił tylko... rozkaz oswobodzenia Bereniki.

Bolesław Prus

OGRÓD SASKI

Mylisz się, kochany przyjacielu, jeżeli sądzisz, że zawsze samotny stąpałem po żwirze, który w tej chwili tysiące nóg depta. Patrz, teraz na przykład, w jak pięknym znajdują się kółku rodzinnym!...

Ta szanowana, aczkolwiek może nazbyt przysadzista matrona w jedwabnej sukni, z tak tkliwym zaufaniem opierająca się na moim ramieniu, to pani X., właścicielka nieco zadłużonych dóbr ziemskich.

Ten wysmukły, co chwilę rumieniący się anioł w aksamitnej garybaldce, to panna Zofia, córka poprzedzającej; ma osiemnaście lat, sześć tysięcy rubli posagu i wyobraża sobie, że w Saskim Ogrodzie wszyscy tylko na nią patrzeć i z niej wyśmiewać się będą.

Ten rozkoszny sześciolatek chłopaczek w niebieskiej sukience, przewiązanej pod ramionami lakierowanym paskiem, miłe bobo w aksamitnym kaszkieciku z aksamitnym gu-

- Sto...

Wśród grobowej ciszy usłyszano stuk sandałów. Do sali wbiegł zastępca arcykapłana. Horus wyciągnął rękę.

- Cud!... - zawołał przybyły. - Wielki Ramzes odzyskał zdrowie... Podniósł się krzesko z łoża i o wschodzie słońca chce jechać na lwy... Ciebie zaś, Horusie, na znak łaski wzywa, abyś mu towarzyszył...

Horus spojrział gasnącym wzrokiem za Nil, gdzie błyszczało światło w więzieniu Bereniki, i dwie łyzy, krwawe łyzy, stoczyły mu się po twarzy.

- Nie odpowiadasz, Horusie?... - spytał zdziwiony posłaniec Ramzesa.

- Czyliż nie widzisz, że umarł?... - szepnął najmędrszy lekarz z Karnaku.

Patrzcie tedy, że marne są ludzkie nadzieje wobec wyroków, które Przedwieczny ognistymi znakami wypisuje na niebie.

zem i jedwabnym fontaziem, to mały Franio, syn starszej a brat młodszej mojej towarzyszki. Ten na koniec dwudziestoletni płowowłosy wyrostek, wiecznie przestraszony i wiecznie wszystkim ustępujący z drogi, to kuzyn opisanej rodziny. Był jakiś czas w szkołach, obecnie bawi przy ciciu jako praktykant gospodarski, pełni obowiązki tymczasowego wielbiciela panny Zofii i nosi aksamitną żokejkę, jasnooliwkowe ineksprymable, popielaty żakiet i ciemnozielone rękawiczki, które zdają się stanowić dla niego przedmiot najwyższej chwały, nie wyłączającej bynajmniej silnego zakłopotania.

Cała nasza grupa wraz z Bibi (kieszonkową, z rodzaju pinczerów, suczką, której głowa przypomina duży kłębek szarej wełny), otóż cała grupa ceremonialnym krokiem posuwa się ku Saskiemu Ogrodowi. Idziemy z daleka i podróż nasza trwa już około trzech kwadransów, ani na chwilę jednak nie tracimy dobrego humoru; w drodze parę razy kiwaliśmy na doróżkarzy, ale grubianie ci, zobaczywszy tak liczną rodzinę, umykali, co im sił starczyło. Brniemy więc dalej, bawiąc się rozmową o ogrodzie, który od kilku dni spędza sen z figlarnych oczek panny Zofii.

- Ach, Boże! Boże!... - wzdycha mama. - Wieczemy się jak dziady na odpust... Ty pewnie żenujesz się iść z nami panie Bolesławie, bo to my parafianki...

- O pani! wszakże i ja sam jestem parafianinem...

- To prawda, żeś ty Wołyniak poczciwy!... Wy wszędzie tacy: serce złote, jak nie wymawiając u ciebie, a w głowie fiu! fiu!... jak u naszego kochanego Władzia na ten przykład...

Kochany Władzio wyszczerzył zęby w kierunku swoich zielonych rękawiczek, a po raz setny zarumieniona panna Zofia wtrąciła:

- Ciekawam bardzo, jak też wygląda ten wasz sad saski, czy tam warszawski?...

- Musi być okrągły!... - domyślił się dwudziestoletni Władzio, przechodząc z prawej strony na lewą.

- Przeciwnie, kochany panie Władysławie - odparłem - jest czworoboczny, a jeżeli pana interesują szczegóły topograficzne, to dodam, że ma od wschodu Saski Plac, od zachodu targ za Żelazną Bramą, od południa ulicę Królewską, a od północy całą gromadę domów, przyle-

głych ulicy Wierzbowej, Placowi Teatralnemu i Senatorskiej.

Słuchacz mój widocznie zrozumiał objaśnienie, ponieważ przeszedł z lewej strony na prawą.

- A wrotaż są jakie?... - spytała znowu panna Zofia tym rozkosznym głosikiem, któremu się nawet nonsensy wybacza.

- O, są pani!... całe z żelaznych krat...

- Ooo... oo! - zdziwiło się towarzystwo.

- Bram tych jest aż sześć...

- A... ooo! - był nowy wybuch zdziwienia.

- Jedna - ciągnąłem - patrzy na Saski Plac, druga na kościół ewangelicki, trzecia na Marszałkowską, czwarta na targ, piąta na ulicę Żabią, a szósta na Niecałą...

- Mamo... mamol...zawołał nagle spotniały Franio - a przez płot czy będziemy przełazić?

- Franiu, bądź grzeczny! - zgromiła go siostra. - Niechże nam pan powie, co tam więcej jest?...

- Uwaga łaskawa pani, jest naprzód cztery kąty...

- I chi! chi!... jaki ty zbytny, panie Bolesławie - ucieszyła się mama.



Teatr Letni w Ogrodzie Saskim.

- Cztery kąty bardzo interesujące, ponieważ w północno-wschodnim znajduje się strzelnica...

- Jezus Maria! - zaoponowały damy.

- O to sobie strzelę parę razy!... - wykrzyknął Władzio i przeszedł na lewo.

- Strzelnica jednak nie funkcjonuje już od kilku tygodni...

- Coś się zepsuło... - zauważył Władzio już z prawej strony.

- W kącie południowo-wschodnim jest cukiernia...

- Aj... na lody, mamol, na lody!... - przerwała mi panna.

- Zajdziem!... zajdziem!...

- W kącie południowo-zachodnim jest zakład kumysowy, wody mineralne i mleczarnia...

- Chryste Panie!... - zdziwiła się mama. - W takim sadzie mleczarnia?... A zsiadłego mleka dostanie?...

- O dostanie!...

- Zajdziemże i tam!...

- W kącie północno-zachodnim jest plac dla dzieci...

- Boże ty mój!... - wykrzyknęła matrona. - A cóż o n y tam robią?...

- Bawią się z niańkami...

- Robaczki wy moje serdeczne!... Ach bodaj ciebie, panie Bolesławie, że ty wiesz tak wszystko...

W czasie tych wydziwiań mineliśmy Saski Plac, przeszliśmy ulicę, na której o mało nas nie rozjechało, i zbliżyliśmy się do głównego wejścia. Zauważyłem, że twarz panny Zofii robi się purpurową, i że w duszy jej tymczasowego adoratora powstają niejaki wątpliwości co do popielatego żakieta, ciemnozielonych rękawiczek i jasnooliwkowych uzupełnień.

- Nie można, nie można!... - odezwał się w tej chwili dozorca do jakiegoś bardzo podszarzanego jegomości.

- Za co on jego nie wpuszcza?... - szepnęła mi do ucha strwożona mama.

- Bo ten jest źle ubrany - uspokoiłem ją.

- A nas-że?...

Nie dokończyła frazesu, ponieważ z kolei zwrócono się i do nas:

- Państwo będą łaskawi wziąć pieska na sznurek...

- Bibi na sznurek?...Bibi?... - wykrzyknęła panna Zofia.

- No, jeżeli on się tak nazywa, to Bibi...

- Cóż to będzie panie Bolesławie, kiedy my nie mamy sznurka?... To chyba ty Władziu, musisz biedną Bibi odnieść do domu.

- A może by ją można na szpagat?... - spytał surowego dozorca oszołomiony Władzio, po raz pierwszy zapominając o kolorze swoich rękawiczek.

- Można!... można!...

W odpowiedzi na przyzwolenie to, płowowłosy przyjaciel nasz wykonał kilka ruchów w okolicach swej żakietki, a za chwilę ładna Bibi, kaszląc i opierając się, asystowała nam przywiązana do krótkiego szpagatu. Czas był wielki, bo już i ludzie poczęli się na nas oglądać.

- Woda!... woda!... Leje!... leje!... - wrzeszczał uradowany Franio, patrząc na rzewnie płaczącą fontannę.

- Franiu, bądź grzeczny! - upominała go siostra. - To pewno wodotrysk, panie Bolesławie... Ach, jaki piękny!... Milczałem, nie tyle myśląc o wodotrysku, ile o szeroko otwartej gębie dwudziestoletniego Władzia w aksamitnej żokejce. Ludzie znowu gapią się na nas, panna Zofia znowu się rumieni... ja sam czuję pewne zakłopotanie... Szczęściem, Bibi wydziera się z rąk swojego pograżonego w kontemplacji przeciwnika...

- Łapaj, Władziu!... - powtarza panna.

- Trzymaj, Władziu!... - powtarza panna.

Rozpoczyna się gonitwa, w czasie której Bibi spod nóg jakiegoś dziecka wpada na ogon jakiejś damy, zaplątuje się sznurkiem o pałasz jakiegoś wojskowego, a w końcu dostawszy niechcący kijem od podeszłego jegomości, podkula ogon i z rezygnacją poddaje się ubezwłasnowolnieniu. Uważam, że spacerujące grupy poczynają się serio zajmować wypadkiem Bibi, garybaldką panny Zofii i żokejką pana Władysława - co wszystko, razem wzięte, nie dodaje mi bynajmniej otuchy.

- Mamo, chodźmy dalej!... - prosi wysmukła Zosia.

- Idźmy - odpowiada mama - ale nie środkiem. Tu same elegantki spacerują, i spaliłabym się ze wstydu, gdyby na nas tak dłużej patrzyli. Odchodzimy w aleję na prawo i znajdujemy wolną ławkę. Około strzelnicy jakaś dziewczynka bawi się toczeniem obręczy, druga skakaniem przez sznurek, trzecia podbijaniem ogromnej piłki, a kilku chłopców bieganiem i wrzaskiem. Jeden z nich, w ubiorze marynarskim, zbliża się do nas i pyta z ukłonem:

- Proszę pana, która też godzina?

- Trzy kwadransy na trzecią.

- Ach, jaki grzeczny chłopczek! - szepcze mama.

Marynarz zauważył Frania; chwilę popatrzyli sobie obaj w oczy, wreszcie przybyły, zwracając się z powtórny ukłonem do mamy, rzekł:

- Niech pani będzie łaskawa temu małemu pozwolić bawić się z nami.

- Owszem!... owszem!... Idź, Franiu, baw się z tymi grzecznymi chłopczykami - odparła mama. - Ach, jakie cudowne dzieci są w tej Warszawie!

W oka mgnieniu zmieszanego Frania otoczyła gromadka dzieci, i rozpoczęło się śledztwo:

- Kawaler, umiesz się bawić?

- To jakiś mazgaj!...

- A skąd kawaler?...

- My z mamą i z Zosią, i z Władziem, jesteśmy aż z K...

- Panowie!... bawmy się w jenerała - zaproponował marynarz. - Wy będziecie żołnierzami, ja jenerałem, a ten mały koniem...

- Dobrze... dobrze... hura!...

Za chwilę mały Franio, trzymając sznurek w zębach, podcięty parę razy batem, cwałował pomiędzy drzewami. Jenerałowie i żołnierze zmieniali się co kilkanaście sekund, ale przybysz z K... ciągle był koniem i w charakterze tym dotąd galopował, aż zmęczony i wywieszony pejcem upadł na ziemię zanosząc się od płaczu. Towarzysze jego rozpięchli się jak wróble.

- Ach, to nicponie te warszawskie dzieci!... ach! to urwisy!... woła przestraszona mama uspakajając, trzepiąc i obcierając Frania.

Wreszcie kiedy przeszło i to zmartwienie, ruszyliśmy w poprzek alei głównej ku mleczarni.

- Chryste Panie... jakie ogony te damy noszą!... jaki tu kurz!... Taż odsapnąć nie można... zupełnie jakby kto stado owiec przepędził!... - lamentowała jejmość.

- Panie Bolesławie - pyta urocza Zosia - a co znaczą te becзки?

- To do polewania ulic...

- Ach, prawda! taż tu wyraźnie błoto w alejach... kurz i błoto! Oto mi sad!... u nas na okólniku porządniej...

- A gdzie tu warzywa sadzą? - przerywa pani.

- Tu nie sadzą warzyw - odpowiadam.

- Nie sadzą?!... A drzewa fruktowe są?...

- I tych nie ma...

- Nie ma!...Więc od czegoż wy ten sad trzymacie?

- Od... to jest dla świeżego powietrza...

- Piękne mi świeże powietrze, jak pragnę szczęścia!...

Wy tu zmarniejecie z takim świeżym powietrzem... Ach, jakież fetor!... cóż to znaczy?...

- O, to nic, proszę pani!... Idziemy w tej chwili aleją, przytykającą do ulicy Królewskiej, na której rynsztoki trochę pachną...

- Aaa...ooo!...

Otóż i mleczarnia. Towarzystwo moje z uwagą patrzy na delektujących się krowimi produktami warszawiaków. Wołam pannę.

- Co państwo każą?...

- Hładyszkę zsiadłego mleka i sitnego chleba - odpowiada jejmość.

Panna wytrzeszcza oczy.

- Mamo - szepcze Zosia - jakoś to mleko nieładne... U nas czeladź takiego by nie jadła, dajmy spokój!...

- Fiu!... - gwizdże Władzio. - Albo to mleko zsiadłe? to maślanka!... U nas w K... zsiadłe mleko krajać by można...

Panna ulatnia się, poznawszy o co chodzi. (Uważam, że pierwotny zachwyty szanownej mamy naszej na widok ogrodu, zmniejszył się o trzydzieści procent).

- Panie Bolesławie - mówi do mnie - a dzieci tu daleko?... Chodźmy do tych niebożatek.

Około Żelaznej Bramy przecinamy po raz

drugi aleję główną i wchodzimy na plac zawalony gromadą żyjących ciał ludzkich. Dzieci i ich niańki rozmieszczone jak śledzie w beczone, siedzą, śpią, płaczą, szycją, rozmawiają, słowem robią wszystko, co komu na myśl przyjdzie.

- O rany Chrystusa!... - woła mama. - Jak to, więc na tym placu bez trawy, w tym kurzu, w tej ciasnocie, bawią się dzieci tutejsze? O Boże! Boże!... toż u nas na wsi cielętom lepiej!... Patrzajże, panie Bolesławie, jakie to małe dzieckowina, pewno mu się jeszcze zębki nie wyrzynają, a ono już tam?... Nianiu!... nianiu!... - zwraca się do jednej z piastunek - a czego to dziecko tak płacze?...

- A bo proszę pani, już mleka nie ma w butelczce, więc nie ma czo szszuć...

- To ono butelkę ssi! a gdzie matka?...

- Pani z panem są w ogrodzie, ale pani szama nie karmi...

Poważna moja przyjaciółka machnęła gniewnie ręką i poszliśmy dalej.

- Czy to bóżnica, proszę pana? - pyta mnie uśmiechnięty Władzio wskazując na ogromny, elegancki budynek w guście szwajcarsko-chińskim.

- to Letni Teatr, panie...

- Aaa!... proszę pana, a tenże budynek murowany na górze, co to jakby maszynka do gotowania kawy?

- To rezerwoar wodny...

- Aaa!... A tenże parów, to co takiego?

- Sadržawka...

- Sadržawka bez wody... Chi! chi!... A tenże chłopiec z gęsią?...

- Fontanna...

- Aaa!... To proszę pana, woda idzie przez chłopca, czy przez gęś?...

- Przez gęś.

- Aaa!... A toż korytko nad sadzawką?

- Strumyk dla ptaków...

- Aaa!... to ptaki w Warszawie znaczy błoto jedzą?

- Tylko piją...

- Aaa!...

W tej chwili napatacza się znowu jakiś chłopczyk z gołymi nogami, po szkocku.

- Która godzina, proszę pana?

- Kwadrans na czwartą...

- Mam!... zajdźmyż na te lody... - prosi panna Zofia.

- A zajdźmy!... Wiedźże nas, panie Bolesławie - odpowiada bardzo zachmurzona mama.

Jeszcze raz przecinamy aleję główną; pani zatyka nos, panna rumieni się, kawaler otwiera gębę, Franio czepia się za rękę matki, a Bibi płacze się między nogami swego kornaka, który woła:

- Panie! panie!

Kilku panów ogląda się, ja jestem różowy.

- Panie! - powtarza posiadacz aksamitnej żokejki - to tu w Warszawie i drzewa blachą łatają? Na co to tak?

Ponieważ nie wiem: "na co to tak" - więc milczę i uważam tylko, że białe zęby mego interlokutora, na osobach zajmujących ławki, robią nie mniejszy efekt od jego ciemnozielonych rękawiczek i szpagatu, na którym ciągnie Bibi.

- Proszę pana... co to za figura?... - pyta nieśmiało panna Zofia, wskazując posąg, zarówno cierpiący na brak podpisu, jak i na niedostatek garderoby.

- Zosiu!... nie patrz tam - upomina ją mama - bo to nieprzyzwoicie!...

Zosia płonie, Bibi szczeka, a cała nasza kawrana zbliża się do cukierni, gdzie wchodzi my nareszcie i zajmujemy stolik pod werandą.

- Co państwo każą?... - pyta markier wyglądający z pozoru na człowieka, który lepiej się zna ze słodyczami niż z mydłem. -

Ja proszę o lody - dysponuje mama.

- I ja o lody - powtarza córka.

- To i ja o lody - konkluduje Władzio.

- A ty panie Bolesławie?...

- Proszę o czarną kawę...

- A dla Frania ciasteczko - decyduje jejmość.

Markier znika i po pewnym czasie zjawia się z tacą pełną żądanych efektów.

- Ach! jakie małe porcje lodów!... - dziwi się mama.

- Może państwo będą łaskawi zapłacić z a r a.

- Cóż to znaczy?... albowż my uciekamy?...

- Ja tego nie mówię, ale niektórzy goście są takie, że wychodzą i nie płacą - wyjaśnia egzekutor.

Czuję, że jestem tak pąsowy, jak panna Zofia i jej mama, która, nie ociągając się dłużej, wydobywa woreczek i pyta: - Co się należy?...

- Trzy porcje lodów - rachuje markier - czterdzieści pięć kopiejek...

- Takie małe porcje po piętnaście kopiejek?

- Ja nic na to nie poradzę!... Filizanka kawy siedem i pół kopiejek...

- Na Nowym Świecie pięć kopiejek - przerywa dama.

- Ja nic na to nie poradzę!... Ciasteczko pięć kopiejek.

- Gdzie indziej lepsze kosztuje trzy...

- Razem pięćdziesiąt siedem i pół kopiejek - sumuje markier.

Przez ten czas wycelowano na nas wszystkie szkiełka; w powietrzu poczynają się krzyżować uwagi.

- Wełna - mówi jeden.

- Facet w zokejce jest pyszny... wygląda na forysia.

- Gąska niczego, choć anachronicznie ubrana.

Słuchając tych uwag, towarzystwo moje kręci się ja jestem fioletowy i nawet Franio ma minę przestraszonego. Tylko ostrzyżona Bibi zachowuje się obojętnie i robi przez ten czas znajomość z czekoladowym angielskim charcikiem. Wreszcie ruszamy.

- Gąska kapitalna!... - żegnają nas eleganści.

- Wyjdźmy już, mamó, z ogrodu - mówi ze łzami w oczach panna Zofia.

- Aaa!... upadam do nóg za ten wasz Ogród Saski - irytuje się mama - już mnie tu drugi raz nie zobaczycie... Wolę ja swój sad w K...

- Moje nowe rękawiczki za siedemdziesiąt pięć kopiejek pęknięte!... - wzdycha Władzio, i zapewne skutkiem zmartwienia, przy samym wyjściu przydeptuje i obrywa łokciowy ogon jakiejś damie.

- A... fu... otom się skapa!... - myślę i postanawiam odtąd nigdy nie akompaniować na spacerach antypodom, którym się nie podoba Ogród Saski.

* * *

MODLITWA PSUJACZKA

(fragment powieści Prusa "Faraon")

Arcykapłan Herhor, aby uratować gasnące życie władcy, uciekł się do ostatecznego środka i powiedział faraonowi, że kryje się w jednej z tybetańskich świątyń Chaldejczyk, Beroes, najmłodszy kapłan z Babilonu i niezrównany cudotwórca.

- Dla waszej świątobliwości - mówił Herhor - obcy to człowiek i nie ma prawa udzielać tak ważnych rad naszemu panu. Ale pozwól, królu, ażeby spojrzał na ciebie, bo jestem pewny, że znajdzie dla twojej choroby lekarstwo, a w żadnym wypadku nie obrazi twojej świętości bezbożnymi słowami.

Faraon uległ namowom wiernego sługi. A we dwa dni Beroes, wezwany jakimś tajemnym sposobem, przyплыł do Memfis.

Mądry Chaldejczyk nawet nie oglądając szczegółowo faraona taką dał radę:

- Trzeba znaleźć w Egipcie człowieka, którego modły dosięgają tronu Najwyższego. A gdy on szczerze pomodli się na intencję faraona, władca odzyska zdrowie i będzie żył długie lata.

Usłyszawszy te słowa, pan spojrzał na gromadę otaczających go kapłanów i rzekł:

- Widzę tu tylu mężów świętych, że jeśli który zechce pomyśleć o mnie, będę zdrów... I uśmiechnął się nieznacznie.

- Wszyscy jesteśmy tylko ludźmi - wtrącił cudotwórca Beroes - więc dusze nasze nie zawsze mogą wznieść się do podnóżka Przedwiecznego. Dam jednak waszej świątobliwości nieomylny sposób odkrycia człowieka, który modli się najszczerzej i najskuteczniej.

- Owszem odkryj mi go, ażeby został moim przyjacielem w ostatniej godzinie życia.

Po przychylniej odpowiedzi pana Chaldejczyk zażądał komnaty mającej tylko jedne drzwi i przez nikogo nie zamieszkiwanej. I tego samego dnia, na godzinę przed zachodem słońca, kazał przenieść tam jego świątobliwość.

W oznaczonej porze czterech najwyższych kapłanów ubrało faraona w nową, lnianą szatę, odmówili nad nim wielką modlitwę, która stanowczo odpędzała złe moce, i usadziwszy go w prostą lektykę z cedrowego drzewa zanieśli pana do owej pustej komnaty, gdzie znajdował się tylko mały stolik.

Był tam już Beroes i zwrócony do wschodu modlił się.

Kiedy kapłani wyszli, Chaldejczyk zamknął ciężkie drzwi izby, włożył na ramiona purpurową szarfę, a na stoliku przed faraonem postawił szklaną kulę czarnej barwy. W lewą rękę wziął ostry sztylet z babilońskiej stali - w prawą laskę pokrytą tajemniczymi znakami i tąż laską dookoła siebie i faraona zakreślił w powietrzu krąg. Potem zwracając się kolejno ku czterem okolicom świata szeptał: Miej litość nade mną i oczyść mnie, Ojczyźnie niebieski, łaskawy i miłosierny... Zlej na niewiernego sługę swoje święte błogosławieństwo i wyciągnij wszechmocne ramię na duchy uparte i buntownicze, ażebym mógł rozważać w spokoju twoje święte dzieła...

Przerwał i zwrócił się do faraona:

- Mer-amen-Ramzesie, arcykapłanie Amona, czy w tej czarnej kuli dostrzegasz iskrę?...

- Widzę białą iskierkę, która zdaje się poruszać jak pszczoła nad kwiatem...

Beroes zwrócił sztylet w górę.

- Mer-amen-Ramzesie - rzekł - ciągle patrz w iskrę i nie oglądaj się na boki...

W tej chwili na twarzy faraona ukazał się spokojny uśmiech.

- Zdaje mi się - rzekł - że widzę Egipt... Tak, to jest Nil!... pustynia... Tu Memfis, tam Teby...

Istotnie widział Egipt, cały Egipt, ale nie większy od alei, która ciągnęła się przez ogród jego pałacu. Dziwny obraz miał jednak tę własność, że gdy faraon skierował na jaki punkt baczniejszą uwagę, punkt ten rozrastał się w okolicę prawie naturalnej wielkości.

Słońce już zachodziło oblewając ziemię zlotopurpurowym światłem. Dienne ptaki zasiedały do snu, nocne - budziły się w kryjówkach. W pustyni ziewały hieny i szakale, a drzemający lew przeciągał potężne cielsko gotując się do pościgów za łupem.

Nilowy rybak śpiesznie wywłóczył sieci, wielkie statki transportowe przybijały do brzegów. Znużony rolnik odejmował od żurawia kubeł, którym przez cały dzień czerpał wodę; inny powoli wracał z pługiem do swej lepianki. W miastach zapalano światła, w świątyniach kapłani zbierali się na nabożeństwo wieczorne. Na gościńcach opadał kurz i milknęły skrzypiące koła wozów. Ze szczytu pylonów odezwały się jękiłowe głosy wzywające naród do modlitwy.

W chwilę później faraon spostrzegł ze zdziwieniem niby stado srebrzystych ptaków unoszących się nad ziemią. Wylatywały one ze świątyń, pałaców, ulic, fabryk, statków nilowych, chat wieśniaczych, nawet z kopalni. Z początku każdy z nich pędził w górę jak strzała, lecz wnet spotykał pod niebem innego srebrnopiórego ptaka, który zabiegał mu drogę, uderzał go z całej siły i - obaj martwi upadali na ziemię.



Harfciarz egipski.

Były to niezgodne modlitwy ludzkie, które nawzajem przeszkadzały sobie wzbic się do tronu Przedwiecznego... Faraon wyteżył słuch... Z początku dolatywał go tylko szelest skrzydeł; niebawem jednak mógł odróżnić wyrazy.

I oto słyszał chorego, który modlił się o powrót do zdrowia, a jednocześnie lekarza, który błagał, ażeby jego pacjent chorował jak najdłużej. Gospodarz prosił Amona o czuwanie nad jego spichrzem i oborą; złodziej wyciągał ręce do nieba, ażeby bez przeszkody mógł wyprowadzić cudzą krowę i napełnić wory cudzym ziarnem.

Modlitwy ich roztrącały się jak kamienie wyrzucone z procy.

Wędrowiec w pustyni upadał na piasek żebząc o wiatr północny, który by mu przyniósł kroplę wody; morski żeglarz bił czołem o pokład, ażeby jeszcze przez tydzień wiały wiatry ze wschodu. Rolnik chciał, aby prędeż wysychały bagna po wylewie; ubogi rybak żądał, by bagna nie wysychały nigdy.

I ich modły rozbijały się wzajemnie i nie dosięgły boskich uszu Amona.

Największy zgilek panował nad kamieniołami, gdzie przestępcy, skuci w łańcuchy, za pomocą klinów moczonych wodą, rozsadzali ogromne skały. Tam partia robotników dziennych błagała o noc, aby spać się położyć, podczas gdy budzeni przez dozorców robotnicy partii nocnej bili się w piersi, aby nigdy nie zachodziło słońce. Tam kupcy, którzy nabywali odłupane i obrobione kamienie, modlili się, aby jak najwięcej było w kopalni przestępców, podczas gdy dostawcy żywności leżeli na brzuchach wzdychając, ażeby pomór tępił robotników i umożliwił dostawcom większe zyski.

Więc i modły ludzi z kopalni nie dolatywały do nieba.

Na zachodniej granicy ujrzał faraon dwie armie gotujące się do boju. Obie leżały na piaskach wzywając Amona o wytepienie nieprzyjaciół. Libijczycy życzyli hańby i śmierci Egipcjanom; Egipcjanie miotali przekleństwa na Libijczyków. Modły tych i tamtych, jak dwa stada jastrzębi, starły się nad ziemią i spadły na pustynię. Amon nawet ich nie dojrzał.



Łowca ptaków w drodze na targ.

I gdziekolwiek zwrócił faraon umęczoną źrenicę, wszędzie było to samo. Chłopi modlili się o wypoczynek i znizenie podatków; pisarze - aby rosły podatki i nigdy nie kończyła się praca. Kapłani błagali Amona o długie życie dla Ramzesa XII i wytepienie Fenicjan, którzy psuli im operacje pieniężne; nomarchowie wzywali bóstwa, aby zachowało Fenicjan i prędeż pozwoliło wejść na tron Ramzesowi XIII, gdyż ten ukrócił samowolę kapłanów. Lwy, szakale i hieny dyszały głodem i pożądaniem świeżej krwi; jelenie, sarny i zające z trwogą opuszczały kryjówki myśląc o zachowaniu marnego życia jeszcze przez jedną dobę. Choć mówiło doświadczenie, że i tej nocy kilkunastoro ich musi zginąć, ażeby nie pomarły drapieżniki.

I tak na całym świecie panowała rozterka. Każdy chciał tego, co lękiem napępniało innych; każdy prosił o własne dobro nie pytając, czy nie zrobi szkody bliźniemu.

Przeto modlitwy ich, chociaż były jak srebrzyste ptaki wzbijające się ku niebu, nie dosięgły przeznaczenia. I boski Amon, którego nie dochodził żaden głos z ziemi, oparłszy ręce na kolanach, coraz więcej zagłębiał się w rozpatrywaniu swojej własnej boskości, a na świecie coraz częściej rządziła ślepa moc i przypadek.

Wtem faraon usłyszał głos kobiecy:

- Psujak!... Psujaczek!... wracaj, zbytniku, do chaty, bo już pora na modlitwę...

- Zaraz!... zaraz!... - odpowiedział głos dziecięcy.

Władca spojrział w tym kierunku i zobaczył ubogą lepiankę pisarza od bydła. Właściciel jej przy blasku zachodzącego słońca kończył pisać swój rejestr, jego żona rozbijała kamieniem pszenicę na placki, a przed domem, jak młody koziołek, biegał i skakał sześciolletni chłopczyna śmiejąc się nie wiadomo z czego.

Widać upajało go pełne woni powietrze wieczorne.

- Psujak!... Psujaczek!... chodź mi tu na modlitwę... - powtarzała kobieta.

- Zaraz!... zaraz!...

I znowu biegał i cieszył się jak szalony.

Nareszcie matka widząc, że słońce zaczyna pogrązać się w piaskach pustyni, odłożyła swój kamień i wyszedłszy na dziedziniec schwyła biegającego chłopca jak żrebaka. Opierał się, lecz w końcu uległ przemocy. Matka zaś wciągnawszy go do lepianki czym prędeż posadziła go na podłodze i przytrzymała ręką, ażeby jej znów nie uciekł.

- Nie kręć się - mówiła - podwiń nogi i siedź prosto, a ręce złoż i podnieś do góry... A niedobre dziecko!...

Chłopak wiedział, że już nie wykręci się od modlitwy, więc aby jak najprędeż wyrwać się znowu na podwórze, wznosił pobożnie oczy i ręce do nieba i cieniutkim, a krzykliwym głosem prawil zadyszany:

- Dziękuję ci dobry, boże Amonie, żeś tatkę chronił dzisiaj od przygód, a mamie dał pszenicy na placki... I jeszcze co?... Żeś stworzył niebo i ziemię i zesłał jej Nil, który nam chleb przynosi... I jeszcze co?... Aha, już wiem!... I jeszcze dziękuję ci, że tak pięknie na dworze, że rosna kwiaty, śpiewają ptaki i że palma rodzi słodkie daktyle. A za te dobre rzeczy, które nam darowałeś, niechaj wszyscy kochają cię jak ja i chwałą lepiej ode mnie, bom jeszcze mały i nie uczyli mnie mądrości. No już dosyć...

- Złe dziecko! - mruknął pisarz od bydła schylony nad swoim rejestrem. - Złe dziecko, niedbale oddaje cześć Amonowi...

Ale faraon w czarodziejskiej kuli dostrzegł zupełnie co innego. Oto modlitwa rozsztykowanego chłopczyna jak skowronek wzbijała się ku niebu i trzepocząc skrzydłami wznosiła się coraz wyżej i wyżej, aż do tronu, gdzie wiekusty Amon, z rękoma na kolanach, zagłębiał się w rozpatrywaniu swojej własnej wszechmocy.

Potem wzniosła się jeszcze wyżej aż na wysokość głowy bóstwa i śpiewała mu cieniem dziecięcym głosikiem:

- A za te dobre rzeczy, które nam darowałeś, niechaj wszyscy kochają cię jak ja...

Na te słowa pogrążone w sobie bóstwo otworzyło oczy i padł z nich na świat promień szczęścia. Od nieba do ziemi zaległa niezmierna cisza. Ustał wszelki ból, wszelki strach, wszelka krzywda. Świszczący pocisk zawisnął w powietrzu, lew zatrzymał się w skoku na łańnię, podniesiony kij nie spadł na plecy niewolnika. Chory zapomniał o cierpieniu, zablakany w pustyni o głodzie, więzien o łańcuchach. Ucihła burza i stanęła fala morska gotowa zatopić okręt. I na całej ziemi zapanował taki spokój, że słońce, już ukryte pod widnokrzem, znowu podniosło promieniejącą głowę...

Faraon ocknął się. Zobaczył przed sobą mały stolik, na nim czarną kulę, a obok Chaldejczyka Beroesa.

- Mer-amen-Ramzesie - spytał kapłan - znalazłeś człowieka, którego modły trafią do podnóżka Przedwiecznego?.

- Tak - odparł faraon.

- Jestże on księciem, rycerzem, prorokiem czy może tylko zwyczajnym pustelnikiem?

- Jest to mały, sześciolletni chłopczyk, który o nic Amona nie prosił, lecz za wszystko dziękował.

- A wiesz, gdzie on mieszka? - pytał Chaldejczyk.

- Wiem, ale nie chcę wykradać dla siebie potęgi jego modlitw. Świat, Beroesie, jest to olbrzymi wir, w którym ludzie miotają się jak piasek, a rzuca nimi nieszczęście. Zaś dziecko swoją modlitwą daje ludziom to, czego ja nie potrafię: krótką chwilę zapomnienia i spokoju... Zapomnienie i spokój... rozumiesz, Chaldejczyku?

Beroes milczał.

BOLESŁAW PRUS - KRONIKI

NA PROGU DWUDZIESTEGO WIEKU

"Kurier Codzienny" nr 1; dn. 1 stycznia 1901 r.

Czy noc 31 grudnia 1900 roku, podczas której zakończył się wiek dziewiętnasty, a rozpoczął dwudziesty, posiada jakieś wyjątkowe znaczenie, czyli też niczym nie różni się od innych grudniowych, marcowych i podobnych nocy?

Wszakże gdy jedziemy koleją, słup wiorstowy oznaczony liczbą 100-200-300... nie wywiera na nas osobliwego wrażenia: na gościńcu bowiem nie liczby są ważne, choćby kończące się na zera, ale - duże miasta, obszerne wody, wysokie góry...

Toż samo powinno by dziać się w życiu. Życie ludzkie czy społeczne jest wędrówką, lata słupami wiorstowymi. Z jakiegoż więc powodu rok oznaczony liczbą 1900 ma wyróżniać się od tysięcy innych, które upłynęły przed nim, albo które po nim nastąpią?

Powód jest prosty. Zanim przyjdzie pokolenie, które własnymi oczyma widzi początek jednego, a koniec drugiego wieku, setki milionów, jeżeli nie parę miliardów ludzi kładą się do grobu. I jeszcze jeden powód, czytelniku, który razem ze mną widzisz początek dwudziestego stulecia: że - ani ja, który to pisze, ani ty, który to czytasz, nie będziemy świadkami jego kresu!

Rodzący się wiek dwudziesty dwa razy przypomina o śmierci. Raz o naszych poprzednikach czy rówieśnikach, którzy zmarli nie doczekawszy tego dnia, drugi raz - o naszej własnej śmierci.

Z przeznaczeniem tym, dla jednych bolesnym, dla innych obojętnym, w rezultacie godzi się każdy, powtarzając na pociechę: "Tylko raz człowiek umiera..." Ale prawie nie ma takiego między ludźmi cokolwiek oświeconymi, który by nie pomyślał: "A jednak wiele dałbym za to, ażeby dowiedzieć się choć w najogólniejszych zarysach, jak będzie wyglądał świat ucywilizowany w ogóle, a nasz kraj w szczególności na początku dwudziestego pierwszego wieku, czyli - w roku 2001?"

- We wróżby chcesz się zabawić, kronikarzu?... - spyta czytelnik.

Nie, nie we wróżby; raczej we wspomnienia i przypuszczenia, wypowiedziane z wszelkimi ostrożnościami. Sam zresztą czytelnik łatwo pozna, które z wniosków dotyczących przyszłości będą więcej, które mniej usprawiedliwione.

Na pytanie jaka będzie przyszłość, rozumie się - najbliższa przyszłość ludów ucywilizowanych, można postawić trzy odpowiedzi. Przyszłość może być na ogół lepszą od teraźniejszości - może być gorszą albo - albo może być taką samą jak teraźniejszość.

Która z tych odpowiedzi jest najprawdopodobniejszą? - zdaje się, że pierwsza. Istotnie rozpatrując się w historii powszechnej, widzimy dwa zjawiska: bardzo podobny ruch ludów ucywilizowanych ku lepszemu - i częste zatrzymywanie się i cofania w tył. Społeczeństwa wyglądają jak człowiek, który wchodząc na stromą górę, ledwie robi trzy kroki wyżej, wnet zsuwa się o dwa kroki niżej.

Można by dodać, że owe cofania się są tym gwałtowniejsze, im niecierpliwym był ruch naprzód. Ciekawe prawo i wielka nauka!

Wracając do stopniowego doskonalenia się stosunków społecznych, zobaczmy, według najelementarniejszej historii, jakim zmianom uległa Europa - na przykład - od dziesiątego wieku naszej ery.

Była to okropna epoka. "Najwyższa władza znajdowała się w rękach zuchwałych przywódców, którzy rozkazywali tyranom niższego stopnia. Niewolnictwo stało się powszechnym. Religia, patriotyzm, prawda, obowiązek, wszystko to pogrążyło się w odmętach anarchii. Całą Europę orały krwawe wojny; myślano tylko o napadach albo o obronie; w administracji panował straszliwy zamęt.

Jakież obyczajem mogły istnieć w tym wieku żelaznym? Rozruchy, nieporządki, intrygi

i zdrady panowały wśród pewnej części duchowieństwa; niesprawiedliwość, gwałt, rozpusta wśród szlachty, a wśród ludu - dzikość i trwoga, dwa występki zawsze pleniące się w duszach niewolników. Sprawiedliwości i ludzkości trzeba było szukać chyba... w mahometańskich państwach!...

Wiedza zagasła, nawet duchowieństwo już nie chciało się uczyć. Chrześcijański Zachód był pogrążony w ciemnocie. Astronomią, matematyką, chemią i medycyną zajmowali się - tylko Arabowie...

Próba ognia, rozpalonego żelaza i gotującej się wody służyła za podstawę wymiaru sprawiedliwości..." Gdy oskarżony włożył rękę w ogień i nie poparzył się, był niewinny; gdy uległ oparzeniu, był winny. Wszelkie inne dowody poczytywano za zbyteczne.

Tak wyglądał wiek dziesiąty, z którego zdawało się, że już ludzkość nie wybrnie. A jednak wydobyła się, prawda, że bardzo powoli.

W wieku tedy jedenastym wojny krzyżowe osłabiły potęgę tyrańskich i buntowniczych wasalów królewskich, zawiązały handel ze Wschodem i sprowadziły do Europy wiele nowych towarów, nowych odkryć i nieznanych dotychczas wiadomości.

W wieku dwunastym w różnych krajach Europy miasta wyzwoliły się spod przemocy wielkich panów, zapoznano się z prawem rzymskim i już gdzieś zaczęto wypowiadać opinię, że w sprawach tego świata, nawet w religijnych, nie tylko siła ma głos, ale powinien mieć go i rozum!...

W czternastym wieku bogate mieszczaństwo zaczyna wtrącać się do rządów, dokonują się ważne wynalazki, jak: busoli, papieru ze szmat, broni palnej, wódki... Ale jednocześnie spadają na Europę wielkie klęski: szarańcza, głód, mroowe powietrze...

W wieku piętnastym odkryto Amerykę, druk, algebrę, miedziorytnictwo.

W szesnastym Magellan opłynął kulę ziemską, wynaleziono - wagi, termometry, pistolety lunety, wybuchły reformy religijne, narodził się handel morski, a w różnych krajach wystąpili na sceny wielcy poeci, malarze, dramaturgowie, filozofowie, historycy, których pra-

ce stanowiły potężny bodziec dla ludzkiej myśli.

W siedemnastym stuleciu wynaleziono logarytmy, teleskopy, mikroskopy, barometry, zegarki i maszyny pneumatyczne, odkryto obieg krwi w ludzkim ciele; potężnie rozwijał się handel, zaczęła rodzić się ekonomia polityczna, a liczba wielkich myślicieli i artystów wzrosła.

W osiemnastym wieku, nie mniej bogatym w ludzi sławnych, odkryto szczepienie ospy, wymierzono stopień południka, wynaleziono aerostaty i telegrafy optyczne, otworzono szkołę medyczną, i szkołę politechniczną w Paryżu. Law¹ założył bank i zaprowadził we Francji monetę papierową, a nareszcie wybuchła - wielka rewolucja, która pod wielkim hasłem równości i braterstwa uwolniła od ucisku milionowe masy ludu tudzież zapewniła przewagę mieszczaństwu i inteligencji w zachodniej Europie.

Takim ogromnym skokiem naprzód zakończył się wiek osiemnasty, ale zupełnie inaczej zaczął się wiek dziewiętnasty. Najwyższą władzę we Francji objął Napoleon I, za którego rządów miejsce braterstwa zajęła wojna, miejsce wolności - rygor wojskowy, miejsce równości kontrybucje, które nieprzyjaciele i przyjaciele Francji wypłacali krwią i pieniędzmi.

Pomimo tego rodzaju cofań się jakże inaczej wyglądają europejskie społeczeństwa w dziewiętnastym aniżeli w dziesiątym wieku!... Zapomiano powszechne bezpieczeństwo życia i majątku, ludność wielokrotnie wzrosła, choroby zostały osłabione, o głodach i morowym powietrzu nie słychać. Dzięki wynalazkom technicznym tudzież odkryciom naukowym i geograficznym dobrobyt niesłychanie spotężniał; pocztę, koleje żelazne i telegrafy ułatwiły stosunki; druk, powszechna oświata, rozwój literatury i dziennikarstwa podniosły ludzką duszę, która dziś bez porównania więcej umie, więcej czuje, więcej pragnie i więcej zna sposobów zaspokojenia swoich pragnień aniżeli ludzie najtępszych umysłów i najszlachetniejszych serc z dziesiątego wieku!...

Niepodobna też zaprzeczyć, że nawet francuskie hasła z końca osiemnastego wieku są bliższymi rzeczywistościom dzisiaj aniżeli wówczas, kiedy się narodziły. Dzisiejsi ludzie, przy-

najmniej w granicach tej samej rasy czy narodowości, są naprawdę wolniejsi, równiejsi między sobą i więcej zbratani aniżeli wówczas, gdy szlachta posiadała przywileje, a chłopci - odrabiali pańszczyznę.

Francuski albo niemiecki parobek jak i arystokrata jednakowo płaci podatki, zależne od swego dochodu, tak samo odbywa służbę wojskową, umie czytać, pisać i rachować, jeździ tą samą koleją żelazną, staje przed tym samym sądem, tak samo wybiera posła, który najlepiej przypada mu do gustu.

Kraj nasz od początku bieżącego wieku parę razy wznosił się i podupadał. W rezultacie jednak w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat zaszły w nim ogromne zmiany na lepsze. Oto jak wyglądaliśmy około 1850 roku:

Ludność wynosiła niecałe pięć milionów, mniej niż połowę dzisiejszej. Było mnóstwo lasów i nieużytków; w rolnictwie panował system trzypolowy; chaty chłopskie były mniejsze i biedniejsze aniżeli dziś, bardzo często walące się, z powydzieranymi strzechami; miasta niewielkie i mało ruchliwe, ale za to źle oświetlone, źle zabrukowane, niezdrowe i brudne. Do porządniejszych budowli można było zaliczać: kościoły, gmachy rządowe, plebanie, szlacheckie domy i karczmy, osobliwie przy ważniejszych gościńcach. Kolej żelazna była tylko jedna - warszawska - wiedeńska, w rękach Niemców.

Spółceństwo robiło wrażenie człowieka porąbanego na kawały: dzieliło się bowiem już nie na klasy, ale na kasty. U góry jaśniała szlachta i duchowieństwo, trochę niżej stali urzędnicy różnych dykasterii, jeszcze niżej kupcy i rzemieślnicy chrześcijanie, dalej - Żydzi, a na samym dnie - chłopci, wyzyskiwani przez wszystkich. Każda kasta wyższa gardziła niższymi, każda niższa nienawidziła lub zazdrościła wyższymi, z wyjątkiem - chłopów, którzy nie mieli kim pogardzać i nie mieli sił nawet do nienawiści. Poczucia jedności narodowej nie było żadnego.

Suma ludzkich nieszczęść była daleko większa aniżeli dzisiaj. Parę milionów chłopów od świtu do nocy pracowało, po większej części darmo; Żydzi w miastach zapełniali osobne dzielnice, ciasne i nędzne. Ospy, tyfusy, a nade wszystko cholera jeżeli wybuchła, szerzyła stra-

szliwe spustoszenia. Chłopi, terminatorzy, służba, uczniowie szkół ulegali karom cielesnym, niekiedy okrutnym. Zdarzały się też ciężkie głody; z czasów dzieciństwa pamiętam wypadek, że jakiś chłop z głodu pozarzynał swoje dzieci i sam się powiesił...

Rzemiosła stały na niskim stopniu i były źle wynagradzane, o fabrykach, z wyjątkiem gorzelni, nie słyszano. Ludzie zamożni bawili się tańcami i kuligami, lud wiejski i miejski pił i zapijał się niekiedy na śmierć.

Uniwersytetu ani szkoły politechnicznej kraj nie posiadał, tylko szkołę agronomiczną², gdzie bodaj czy nie więcej bawiono się, aniżeli pracowano. Wyraz "uczony" oznaczał człowieka niepraktycznego - "filozof"- dziwaka, jeżeli nie bziaka, a "poeta" - hołusza, który ma podarte buty i dziurawe łokcie. Z "kapłanów" sztuki olbrzymią popularnością cieszyli się - bracia Kątscy³, których literalnie noszono na rękach. Mickiewicz żył w niedostatku, a jego poezje czytywało się tylko ukradkiem, pod największą grozą, nie - jako piękne utwory literackie, ale jak księgi święte i proroctwa. Toteż na polityczne opinie ówczesnej średniej inteligencji wpływała nie znajomość ekonomii, geografii, statystyki, ale - poezja albo historia wykładana w poetycki sposób.

Pracą, bez żadnej przesady, pogardzano. Szanowany był właściciel ziemski, ale ideałem był - wojownik, zdobywający armaty pod Somosierrą, a przynajmniej ginący na polu bitwy.

Przed kobietą były otwarte tylko stanowiska: dobrej żony, dobrej gospodyni, dobrej matki, dobrej córki i siostry, czasem - zakonnicy. Gdy nie trafiła się jej żadna z wymienionych posad, powinna była osiaść przy rodzinie, gdzie pamiętano jej wyświadczone dobrodziejstwa, ale nie liczonej jej pracy. O jakimś samodzielnym zajęciu panna z "dobrego domu" nie mogła marzyć; za to w każdej chwili miała prawo się poświęcać za ojców i braci, osobliwie za pomocą bogatego zamążpójścia.

Na tle ciemnoty ludu i braku wykształcenia w klasach wyższych panowała głęboka wiara w jakąś interwencję, we Francję, w to, że Polska jest Chrystusem narodów, a Polacy - północnymi Francuzami. Było też wiele zawiadac-

stwa i odwagi, opartej na nieznanym niebezpieczeństwie.

Dzisiaj mamy ludność gęstsza aniżeli Francja, ilość lasów zmniejszyła się, może nawet za bardzo, procent nieużytków jest tak mały jak w Niemczech. Ziemia wydaje obfitsze plony, na gospodarstwach większych zaprowadzono płodozmian, który poczyna zaglądać już i do zagrod chłopskich. Jarmarki straciły na świetności, kuligi prawie znikły; za to posiadamy znakomitych rolników, korzystnie wpływających na swoje sąsiedztwo. Na przykład panowie: J. Kleniewski, T. Kowalski, M. Dobrski w Lubelskiem, T. Łuniewski w Siedleckiem, S. Chełchowski w Płockiem, S. Konarski w Radomskiem, G. Godlewski w Kieleckiem, że nie wymienię innych, których nazwisk nie pamiętam.

W społeczeństwie zniknęły przywileje, ale też i darmochy, a zarówno dzisiejszy chłop, jak i większy właściciel ziemski dobrze zdają sobie sprawę z niedawnych stosunków pańszczyźnianych. Praca rozwinęła się tak, że przemysł i górnictwo wytwarzają prawie tyleż wartości co uprawa zbóż i hodowla roślin.

Nie tylko zniknęła kara cielesna, ale już troszczymy się o wszelkiego rodzaju cierpiących: chorych, okaleczonych, dzieci dręczone, obłąkanych, nędzarzy, nawet uwolnionych z więzienia przestępców. Głód jest zjawiskiem na większą skalę nieznanym, epidemie - mniej zabójczymi.

Niechęci międzyklasowe i wyznaniowe gąsna; szlachta straciła wiarę w swoje wyjątkowe posłannictwo na ziemi, mieszczanie są dumni ze swych czynów, chłopci i rzemieślnicy ani myślą wstydzic się swoich na pozór skromnych, w gruncie rzeczy niezmiernie ważnych stanowisk. Kobiety nie tylko wzięły się do samodzielnego prac w rzemiosłach i handlu, ale także do zawodów wyższych.

Dla przykładu wspomnę nazwiska pań: Tomaszewicz-Dobrskiej i Ciszkiwiczowej - lekarzek, Mirosławskiej i Poświkowej, wykładających malarstwo stosowane do rzemiosł, Kleniewskiej i Plater-Zyberkówny zajmujących się bądź gospodarstwem wiejskim, bądź przemysłem włóściańskim.

Również zniknęła wiara w użyteczność wojny i wyjątkowe dostojeństwo stanu rycerskiego: ludzie rozumieją, że byt pod każdym względem lepszy zdobywa się nie przez cierpienie i śmierć kilku czy kilkunastu tysięcy, ale przez usilną pracę milionów. Natomiast zaczynają cieszyć się szacunkiem ludzkie uczeni i wynalazcy tudzież znajdują czytelników takie czasopisma, jak "Przegląd Filozoficzny" - "Wszeczeńwiat" - "Przegląd Techniczny" - "Zdrowie" - "Gazeta Rzemieślnicza".

Te niewątpliwe postępy, dokonane w krótkim stosunkowo czasie, w różnych dziedzinach życia społecznego, mają jednakże kilka stron bardzo wadliwych. Są za słabe ze względu na potrzeby, czego najjaskrawszy dowód znajdujemy na przykład w sferze oświaty. Kiedy bowiem z tysiąca Szwedów zaledwie jeden nie umie czytać, z tysiąca Niemców zaledwie dwóch, z tysiąca Francuzów zaledwie pięćdziesięciu pięciu, to z tysiąca mieszkańców Królestwa Polskiego co najmniej ośmiuset należy do analfabetów!

Drugą wadą naszego rozwoju - jest niesprawiedliwe ocenianie rozmaitych zjawisk życia społecznego przez opinię publiczną. A jak niegdyś nasi ojcowie i dziadowie podnosili do ideału stan ziemiański i rycerski, nie szanując pracy umysłowej i ręcznej, tak dzisiejsza opinia z nadto przecenia sztukę, a źle ocenia wartość ofiar i pracy społecznej. Objawów nadmiernego holdowania sztuce nawet operetkowej, obok lekceważenia obywatelskich zasług, jest u nas tak dużo, że dla przykładu zacytuje parę faktów tylko najświeższych i jak najmniej rażących.

Kiedy teatr wystawia jakąś ulubioną, dajmy na to - operę, wówczas dziennikarstwo pisze nie tylko sprawozdania o przebiegu widowiska, nie tylko wspomina artystów, jacy kiedykolwiek przyjmowali udział w sztuce, ale jeszcze z sumiennością godną lepszej sprawy notuje - każdy szczegół ubrania więcej lub mniej sławnych artystek. Tymczasem czyni i ofiary doniosłości społecznej załatwia się u nas jak najkrótszą i najoschlejszą wzmianką, dzięki czemu w umyśle czytającej publiczności zasiewa się przekonanie, że piękny głos wart więcej aniżeli dobry czyn, a ładna aria stoi wyżej aniżeli hojna ofiara.

A oto próbka tego rodzaju wydarzeń.

Warszawskie Towarzystwo Dobroczynności składa się ze stu dziesięciu przeszło instytucji, które - pielęgnując tysiąc trzystu starców, kalek i sierot, opiekują się w ochronach, salach zajęć i szwalniach sześć tysięcy ośmiuset dziećmi, udzielają rozmaitej pomocy w pieniądzu i naturze sześciu tysiącom osób, przygarniają dwa tysiące dwustu rekonwalescentów, udzielają pożyczek i ułatwiają robienie oszczędności czterem tysiącom czterystu osobom, wydają trzysta sześćdziesiąt tysięcy tanich obiadów i obsługują trzynaście tysięcy bezpłatnych czytelników - rocznie. Do załatwienia zaś tych wszystkich czynności posiada Towarzystwo około stu urzędników i oficjalistów płatnych i około sześciuset, wyraźnie: sześciuset urzędników honorowych, którzy darmo ofiarują swój czas i pracę.

Kilka dni temu odbyły się w Towarzystwie wybory i spomiędzy owych bezpłatnych działaczy, już to dobrowolnie, już skutkiem wyniku głosowania, usunęło się czterech członków. Są zaś nimi panowie: Krzeczkowski, Lutostański, Scheller i Suligowski⁴.

Kiedy stróż odchodzi z domu po kilkuletniej służbie, gospodarz wydaje mu jakieś świadectwo, a czasami, jeżeli był dobry, mówi: "Bóg ci zapłać!..." Ale tym panom opinia publiczna nie powiedziała: Bóg zapłać, i nie wydała żadnego świadectwa. A przecież:

Pan Krzeczkowski nie tylko wiernie i bezpłatnie służył przez dwadzieścia pięć lat Towarzystwu Dobroczynności, ale jeszcze za życia oddał mu cały swój mająteczek.

Pan sędzia Lutostański obok ucziwej służby między innymi miał w swojej opiece wartujący milion rubli zapis gościeradowski⁵, w której to funkcji może i niełatwo da się zastąpić.

Pan adwokat Scheller przez wiele lat był cichutkim, ale niestrudzonym pracownikiem i znowu - podobno trudnym do zastąpienia jako referent.

Nareszcie pan adwokat Suligowski, prezes zarządu, w ciągu sześciu lat oddał Towarzystwu następujące usługi:

Wygrał dwukrotnie w senacie sprawę o zapis gościeradowski, która nie należała do łatwych. Pośrednio lub bezpośrednio wykonał statystykę

Towarzystwa z lat osiemdziesiątych. Opracował instrukcję ogólną i przejrzał instrukcje szczegółowe rozmaitych wydziałów Towarzystwa, przy czym - nadał prawne podstawy bytu niektórym zakładom, zawieszonym jakby w powietrzu. Wyjednał uporządkowanie posesji przy ulicy Starej, gdzie mieści się Zakład dla Sierot Chłopców, i na miejscu brudnych zakątków urządził: ulicę, ośrodek, boiska gimnastyczne itd.

Czy godzi się pomijać milczeniem nazwiska i zasługi tego rodzaju pracowników, bezinteresownych, nieskazitelnych i niestrudzonych, w tym samym czasie, kiedy - mniej więcej - każda kokardka przy negliżowym ubraniu *Damy od Maksyma*⁶ jest starannie zapisywana?...

Gdyby nagle społeczeństwo nasze znikło i gdyby zostały po nim tylko dzieła pisane i rysowane, przyszli badacze i historycy mieliby - jako takie materiały do życiorysów literackich, bardzo liczne szczegóły odnoszące się do artystów teatralnych obojej płci, ale - bardzo szczupłe wiadomości o tych ludziach, którym zawdzięczamy nasze postępy naukowe, ekonomiczne i społeczne.

Czy więc w tym rozpoczynającym się wieku dwudziestym nie należałoby dopuścić się jednego "zbytku" i - wydać książkę, w której mieściłyby się portrety, życiorysy i w ogóle "stan służby" rozmaitych naszych działaczy społecznych? Przecież to oni stworzyli naszą cywilizację, ale ogół wie o nich bardzo mało, nieskończenie mniej aniżeli o każdej przystojniejszej artystce.

W książce tej powinni by znaleźć się ci uczeni, którzy zamiast na katedrach uniwersyteckich, pracują w prywatnych laboratoriach, w dystylarniach, w bankach i towarzystwach kredytowych - ci inicjatorowie rozmaitych stowarzyszeń - ci założyciele i pracownicy rozmaitych instytucji, hojni zapisodawcy, szlachetni filantropowie obojej płci - popularyzatorowie wiedzy i im podobni, którzy składali ofiary i pracowali albo jeszcze składają ofiary i pracują.

Byłoby to bodaj najpiękniejsze zamknięcie dziewiętnastego wieku.

Cywilizacja dąży do wyrównania, a przynajmniej do złagodzenia zbyt jaskrawych różnic. Za pomocą mieszkań, odzienia i opału wyrównywa ona klimaty; za pomocą komunikacji - wy-

równywa ceny. Jest zaś prawdopodobnym, że za pomocą wszystkich dotychczasowych środków i jakichś nowych jeszcze nie znanych, wiek dwudziesty wyrówna różnice ludzkich położań.

Nie usunie on geniuszów i idiotów, wyjątkowego bogactwa i wyjątkowego niedostatku, cnoty i występku, ale - przynajmniej do pewnego stopnia, wytworzy jednakowy poziom dobrobytu, oświaty, pracy i obowiązków społecznych.

Słowem - wiek dwudziesty będzie lepszy, o wiele lepszy od naszego, a ideały równości i braterstwa bez porównania dokładniej urzeczywistnią się, aniżeli to dziś ma miejsce. Wszystkie zaś zmniejszenia złego, a powiększenia dobrego zawdzięczać będziemy ludziom, którzy umieli pracować bezinteresownie, ale użytecznie - i składali chociażby skromne, ale znowu - użyteczne ofiary na ołtarzu wspólnych interesów.

Oni to wydobyli ludzkość z chaosu dziesiątego wieku, oni doprowadzili ją na dzisiejsze stanowisko, oni wreszcie wynajdą, odkryją, wypracują i wykują dla niej to lepsze jutro, do którego wszyscy wdychamy, ale dopiero następcy nasi staną się jego dziedzicami.

Więc cześć im i błogosławieństwo, tym samym, a tak mało znanym działaczom.

KWESTIA ŻYDOWSKA

"Tygodnik Ilustrowany", nr 45; dn. 6 listopada 1909 r.

Tę kruchość naszego społeczeństwa, tę rozbieżność jego rozmaitych czynników odczuwamy wszyscy, a najbardziej w ostatnich czasach, kiedy niesumiennie prowadzone walki stronnictw wywołały powszechne rozdrażnienie i nienawiści. Czasami wydaje się, że patrzymy na rozkład społeczny, ale... w jakież sposób przeciwdziałamy podobnym zjawiskom?

Dla przykładu zwrócę uwagę na dwie "sprawy": pierwszą będzie kwestia żydowska.

Z wyjątkiem "Roli"¹, która systematycznie nękała Żydów, rozumie się, bez skutku, prasa zachowuje się na ogół wobec nich obojętnie. Tylko od czasu do czasu dzięki jakiemuś nietaktowi ze strony Żydów w tej lub owej gazecie na-

¹ John Law (1671-1729), szkocki finansista i ekonomista działający we Francji, gdzie utworzył bank emisyjny i liczne towarzystwa handlowe.

² Był to Instytut Agronomiczny w Marymoncie pod Warszawą, gdzie kształcili się synowie ziemianscy.

³ Było czterech braci Kątskich: Karol - skrzypek, Antoni - pianista i kompozytor, najslawniejszy z całej rodziny, Stanisław - nauczyciel gry fortepianowej, oraz Apolinary - skrzypek-wirtuoz i kompozytor.

⁴ Wybory w Warszawskim Towarzystwie Dobroczynności odbyły się 21 grudnia 1900. Na stanowisko prezesa ponownie został wybrany książe Michał Radziwiłł (w r. 1898 w wyniku głosowania musiał ustąpić z tego stanowiska), a w zarządzie zdobyli przewagę przedstawiciele arystokracji i duchowieństwa. Adolf Suligowski, Szymon Krzeczkowski - i nie wspomniany przez Prusa - sekretarz Towarzystwa Ignacy Łuczyński sami złożyli swoje mandaty. Seweryn Lutostański i Oskar Scheller przypadli w głosowaniu.

⁵ Był to zapis hr. Eligiusza Suchodolskiego, który swoje dobra w Gościeradowie zapisał bratu Edmundowi, po jego śmierci zaś miały przejść na własność Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności.

⁶ *Dama od Maksyma* - farsa Jerzego Feydeau, której premiera odbyła się w listopadzie 1900 w Teatrze Letnim w Warszawie.

stępuje wybuch. Wtedy przypominamy sobie żydowski separatyzm, żargon podobny do niemieckiego, polityczne operacje Żydów w Poznaniu i na Litwie, potracamy o lichwę, handel kobietami i tym podobne grzechy śmiertelne i powszednie i - upominamy Żydów, aby się poprawili. Ponieważ jednak zapominamy wyznaczyć terminu owej poprawy, a sami nie dajemy przykładu, więc wszystko zostaje po dawnemu aż do następnego wybuchu.

Ze swej strony Żydzi, gdy już uspokoiły się papierowe gniewy, lubią wysyłać do chrześcijan ambasadorów celem zasięgnięcia języka o następujących kwestiach: 1. Czy Polacy będą głosowali za dopuszczeniem Żydów do rad

miejskich w stosunku do ich zaludnienia? 2. Czy kooperatywy zawiązane przez chrześcijan nie zaszkodzą ludności żydowskiej? Nie przychodzi im do głowy, że Polacy sami ulegają ograniczeniom nawet silniejszym w niektórych sprawach aniżeli Żydzi i że kto dla siebie żąda równouprawnienia ze strony Polaków, ten chyba powinien by przyznać i ze swej strony równouprawnienie Polakom. Ale o tym separatystyczny ogół żydowski nie myśli.

Zdaje się, że Renan powiedział: dobry Żyd należy do najlepszych wśród ludzi; zły - przecięga najgorszych².

Zobaczmy najpierw - dobrych, poznajmy zalety żydowskie, które może każdy sprawdzić osobistym doświadczeniem, lecz, niestety! nie każdy chce fatygować się podobnymi drobiazgami. A więc spotykamy wśród Żydów ogromną ruchliwość, bardzo często nadzwyczajną pracowitość; dalej - cierpliwość, wytrwałość, kontentowanie się małym zyskiem, punktualność, szczególnie w interesach pieniężnych, zapł, przedsiębiorczość, szybkie orientowanie się w sytuacji, spostrzegawczość, znajomość czytania, pisanie i rachunków. Obok tego silne uczucie rodzinne i narodowe żydowskie, pobożność, wrażliwe współczucie, litość dla nieszczęśliwych. Nie mniej zasługuje na uwagę ich wstrzemięźliwość (kto widywał Żydów pijanych?) i poczucie godności. Żebraków żydowskich prawie nie spotykamy, a znam wypadki, że Żyd czy Żydówka, bardzo ubodzy, nie chcieli przyjąć datku...

Nareszcie między Żydami, już ucywilizowanymi, trafiają się ludzie niepospolitych zdolności. Miewają oni poglądy, ogarniające wiele kwestii, rozumieją najwyższe ideały i umieją głęboko sięgać w duszę ludzką. Nie zapominajmy wreszcie, że Żydzi (aczkolwiek nie ci, na których patrzymy!) są twórcami Starego i Nowego Testamentu, że pewna liczba ich uwieczniła się w historii cywilizacji i że dwaj Żydzi: Marks i Lasalle, należą do ojców potężnego dziś ruchu socjalistycznego.

Oto zalety Żydów, których nawet nie wszystkie wymieniałem.

Z kolei zobaczmy te ich cechy, które dla innych społeczeństw są niewygodne, jeżeli nie

wręcz szkodliwe. Taką cechą zasadniczą, taką przyczyną wszystkich zatargów między innymi narodami a Żydami jest - ich kamienny egoizm nacjonalistyczny. Żydzi znają przykazanie: kochaj bliźniego, i bodaj czy nie praktykują, go lepiej aniżeli chrześcijanie; lecz dla ogromnej większości ich "bliźnim" jest przede wszystkim albo nawet i - tylko - współwyznawca... Zresztą woł w tym miejscu zacytować słowa Żyda, co prawda, jednej z najpiękniejszych postaci ogólnie ludzkich...

"Że przez lat tyle rozrzuceni po utracie niezależności państwowej przetrwali, nic w tym dziwnego, ponieważ od wszystkich narodów tak dalece się odłączyli, że jedynie nienawiść wszystkich na siebie ściągnęli, i to nie tylko przez sposob na życie zupełnie odmienny od sposobu życia innych narodów, ale i przez znak obrzezania, którego się ściśle trzymają. Że nienawiść narodów wielce ich podtrzymuje, doświadczenie uczy... Jeżeli podstawy religii ducha ich nie zmiękczą, to zupełnie wierzyłbym, że oni kiedykolwiek, korzystając z okoliczności, rzeczy bowiem ludzkie są tak zmienne, swoje państwo jeszcze raz odbudują" (Spinoza, przez Ignacego Radlińskiego³).

Nie wiem, azali Żydzi wybudują kiedy państwo terytorialne; to wszakże jest pewne, że i dziś, i od dawna tworzą oni państwo duchowe, którego granicami są przepisy religijne, a którego spoistość wewnętrzna jest bodaj czy nie silniejsza ze wszystkich, jakie znamy w historii. Dla społeczeństwa żydowskiego trudno znaleźć nazwiska. Czym ono jest?... narodem, kastą, zakonem?... Ale organizacja istnieje i wyróżnia się na przykład wśród nas językiem, odzieżą, mieszkaniem, żywnością, widokami politycznymi i mnóstwem innych cech, które Żyd prawowierny (a tworzą oni przynajmniej dziewięćdziesiąt pięć procent ogółu) pielęgnuje z całą świadomością celów i skutków. Getta, czyli krańcowej odrębności żydowskiej, nie stworzyli chrześcijanie: ono jest samodzielnym i dobrowolnym utworem Żydów.

Wobec tej silnej organizacji, odznaczającej się energią, inteligencją, przebiegłością i wytrwałością, nasze społeczeństwo wygląda niby mokra glina, którą można mieszać, krajać,

dziurawić, nawet wyrzucić. Żydzi zdobyli u nas handel wewnętrzny, zagraniczny i przewozowy; opanowują nieruchomości miejskie; biorą się do rzemiosł i tylko patrzeć, jak będą wykupowali majątki ziemskie. No, a w rezultacie, co się z nami stanie?... w zamian za równouprawnienie w Królestwie, które tylko sankcjonował Wielopolski, ale przyznał im cały naród pod wpływem serdecznego entuzjazmu, w zamian za równouprawnienie - cóż otrzymaliśmy od Żydów? Trochę inaczej ubierają się dziś aniżeli przed pół wiekiem, ponieważ... rząd rosyjski obcinał im pejsy i średniowieczne chałaty. Ale nawet żargonu (który przypomina im, że zostali z Niemiec wygnani) nie tylko nie zastąpili językiem polskim, lecz (przynajmniej niektóre ich partie) zamieniają go na czysty język niemiecki.

Stosunek niektórych grup żydowskich do Polaków jest nie tylko niegodziwy, ale wprost nieprzyzwoity. Prawie w tej samej chwili, kiedy liberałowie żydowscy drwiącym tonem w imię rycerskości żądają od Polaków, aby głosowali za pełnym równouprawnieniem Żydów w radach miejskich, w tej samej chwili "litwacy" odegrują rolę rusyfikatorów u nas, nawet obrażają nas, a Żydzi poznańscy wręcz głoszą, że zawsze walczyli przeciw Polakom w interesie Niemców...⁴ No, i naturalnie upominają się o łapówkę.

Dla zupełności tego ohydneho obrazu niektóre partie czy grupy Żydów nie cofają się przed pogroźkami, a nawet czynami. Polskim sklepom kooperatywnym Żydzi nie chcą wynajmować mieszkań w swoich domach; młynarze Żydzi roszczą pretensje do wyłącznego prawa dzierżawienia wszystkich młynów w kraju; inni domagają się, ażeby muzykantów-Żydów koniecznie przyjmować do orkiestr polskich i tak dalej.

Nie będę mnożył przykładów. Na Żydach sprawdza się starorzymski aforyzm "Pojedynczy senatorowie - dobrzy ludzie, cały senat złe bydło."

Organizacja żydowska, ta, jaką widzimy w naszym kraju, jest zacofana i nie zasługuje na sympatię umysłów szczerze liberalnych. Już wspominałem, że istnieją trzy stopnie uspołecznienia: życzliwość dla ludu, życzliwość dla

narodu i życzliwość dla cywilizacji. Otóż Żydzi prawowierni u nas znają tylko jedną formę uspołecznienia: swoją narodowość, lekceważą zaś prawa jednostki (choćby co do przechodzenia na inne wyznanie), lekceważą sąsiadów i używając łagodnego wyrazu nie tolerują cywilizacji. Takie stanowisko nie ma przyszłości; taki tryb życia społecznego możliwy jest tylko wśród polskiej gliny czy polskiego masła.

O sprawie żydowskiej można by pisać tomy; w niniejszym szkicu jest ona zaledwie dotknięta. Pomiąłem na przykład kwestię Żydów asymilowanych, czyli takich, którzy, nie zmieniając wyznania, przyjęli cywilizację i są lub stają się Polakami. Ponieważ między "nimi" a "nami" nie uznaję żadnej różnicy, więc nie będę wypisywał pustych czułości, lecz zapytam:

- Prawda, jesteście dobrymi współobywatelami, jesteście naszymi braćmi. Ale powiedzcie: mieliście kiedy powód żałować swojego stanowiska? Czy obrażaliście kiedy wasze wyznanie, czy lekceważyliście wasze losy żałosne, czy gawiliście wasze zdolności, czy odmawialiście praw jakie sami posiadamy, czy jak najgłośniej nie uznawaliśmy waszych zasług społecznych?

Wracam do Żydów nieprzejednanych. Narzekają oni na upośledzenie. To prawda, oni są upośledzeni - w państwie, ale nie wobec nas, Polaków. Wobec nas posiadają oni przywileje, o których ciągle się zapomina: 1. mają swój samorząd gminny, do którego nigdy nie mieszał się żaden Polak; 2. posiadali i posiadają mnóstwo, ale to mnóstwo stowarzyszeń ekonomicznych, filantropijnych, oświatowych; 3. prawie każdy Żyd umie czytać, pisać i rachować, dzięki szkółkom elementarnym, które Żydzi w swoim języku mają, a jakich nam mieć nie wolno; 4. w razie konkurencji z chrześcijanami nie robią sobie ceremonii, to jest, nie dopuszczają do współzawodnictwa, bojkotują, doprowadzają do bankructwa i jeszcze w niebogłosy narzekają na ucisk!

Innymi słowy, w wyścigu o dobrobyt, dzięki zakazom, które spadły na nas, a nie dotyczyły ich, Żydzi mieli i mają ogromną przewagę. To też już dziś prawie cały handel, całe płynne bogactwo narodu znajduje się w ich rękach.

- Mimo to wszystko - zarzucą mi - Żydzi

w tym kraju są bardzo nieszczęśliwi, cierpią nędzę...

Prawda. Mnóstwo Żydów nie wie z rana, czym nakarmi siebie i swoje nieszczęśliwe dzieci w południe; nędza popycha ich do występków, nawet haniebnych i niebezpiecznych, ale... co myśmy temu winni? Żydów jest u nas stanowczo za wielu, pięć i albo dziesięć razy za wielu, i z tego powodu nie tylko oni, ale i my jesteśmy udręczeni. Prawda, że narodowi wydziedziczonemu, jak Żydzi należy się gościnność. Gdzie przyjdą, niech mają pracę chlebo-dajną, niech robią majątki, niech wreszcie pielęgnują swój separatyzm narodowy, ale - niech ich będzie mniej, ilu naród może udźwignąć bez załamania się. Wszakże chyba nie tylko my mamy obowiązek spełniać cnoty chrześcijańskie: podróżnego w domu przyjąć, głodnego nakarmić i tak dalej.

Starałem się wyraźnie przedstawić niebezpieczne strony żydowskiego społeczeństwa opartego na "egoizmie narodowym". Mimo to

nigdy nie zalecałbym jakichkolwiek praw wyjątkowych przeciw Żydom: albowiem biada narodowi, którego rozwój domaga się przywilejów dla niego, a ograniczeń dla współzawodników! Ograniczenie nie tylko hamuje - ono także hartuje; przywilej nie tylko ułatwia życie - on także osłabia charaktery.

* * *

¹ Tygodnik "Rola" pod redakcją Jana Jeleńskiego wychodził w Warszawie od r. 1883.

² Jest to swobodnie sparafrazowane powiedzenie Ernesta Renana: "Nikt bardziej ode mnie nie szanuje tego ludu, który posiadał wyjątkowy dar łączenia w sobie wszelkich ostateczności dobra i zła." (*Żywot Jezusa*. Z trzeciego wydania francuskiego przetłumaczył Andrzej Niemojewski. Wyd.3. Warszawa 1907, s. 258.)

³ Ignacy Radliński, *Spinoza. Rzecz historyczno-społeczna*, Warszawa 1910 (antedat. 1909), s.280-281.

Henryk Markiewicz

INNA ZABAWA "LALKĄ"

Fragmenty

(...) epizod z procesem o lalkę Helusi Stawskiej posiada (...) podłoże autentyczne, chociaż nie warszawskie. 9 lutego 1887 roku ukazał się w "Gazecie Polskiej" następujący artykuł:

LALKA W SALI SĄDOWEJ

"(...) Wismukła młoda kobieta, na której zajmującym obliczu widać ślady wielkiej boleści, wchodzi do sali sądowej, wiodąc za rękę miluchną, 5-letnią blondynkę. Młoda i skromnie, lecz nie bez pewnej troskliwości ubrana kobieta stoi pod zarzutem... kradzieży i przyłożeniu generalistów zeznaje. Ikając, że jest wdową od grudnia roku przeszłego i mieszka z córeczką swoją u matki zmarłego męża w okolicy Brna. (...) Nadeszły święta Bożego Narodzenia (...). Przeszłego roku drzewko dla

małej i żwawej Klary, tego aniołka szczęśliwego małżeństwa, ustawiła jeszcze ręka kochającego męża i ojca, gdy tymczasem skrzętna ręka matki wybrała i uporządkowała małe podarki. Jakże zupełnie inne było ostatnie Boże Narodzenie! Małżonka, pozbawiona swego opiekuna, nie mogła spełnić życzenia ukochanej dzieciny, a Pan Jezus przyniósł tym razem małej Klarze - tylko laleczkę. Lecz dziecię cieszyło się serdecznie ze skromnego daru i zapominało o wszystkich rojonych w dziecinnym oczekiwaniu życzeniach. W kilka dni po świętach młoda kobieta zauważyła, że sąsiadka traktuje ją z widoczną oziębłością, i zdumiała się niepomału, gdy jej ta w końcu wszelkich odwiedzin wzbronila. Daremnie prosiła młoda wdowa o wyjaśnienie takiego z nią postępowania,

nia, aż wreszcie pewnego dnia otrzymała pozwolenie, aby stawiała się przed sądem, zostając pod zarzutem kradzieży. Jednocześnie odebrano małej Klarze laleczkę. Młodą wdowę oskarżono o kradzież tej lalki (...). Młoda wdowa zeznała, iż kupiła lalkę w pewnym sklepie galanteryjnym, którego właściciel obecnym był jako świadek. Powódka zaś chciała w lalce poznać własność swej córki, zaginioną w niewytłumaczalny sposób; ponieważ nikt oprócz młodej wdowy jej nie odwiedzał, a lalkę wkrótce potem u Klarci widziano, przeto wdowa tylko ukraść ją mogła. Kupiec ze swej strony zeznał, że tego rodzaju lalek jak Klarci nie kupuje się w stanie całkowitym, lecz w częściach składanych, które należy zestawić, i zazwyczaj znaczy on część górną (piers i głowę) znakiem L.D.; jeżeli tedy w mowie będąca lalka jest

u niego kupioną, ma niezawodnie ten sam znak. Klarcia musiała oddać swój skarb i zapłakana patrzyła, jak niemiłosiernie krajano jej lalkę. W próżnym kadłubie lalki znaleziono znak L.D. Niewinność młodej wdowy została świetnie udowodniona (...).

Jak świadczy sam Prus (w liście z 8 lutego 1897 r., ogłoszonym w "Kurierze Warszawskim", r. 1912, nr. 151), ta wiadomość gazetowa wywołała w jego umyśle "skrystalizowanie się, sklejenie się całej powieści", więc przez wdzięczność użył wyrazu "lalka" jako tytułu. Lalką nie jest więc panna Izabela, jak to sądzi wielu czytelników.

Przedruk za: S. Godlewski, L. B. Grzeniewski, H. Markiewicz *Śladami Wokulskiego. Przewodnik literacki po warszawskich realiach "Lalki"*. Warszawa 1957, s. 69-71.

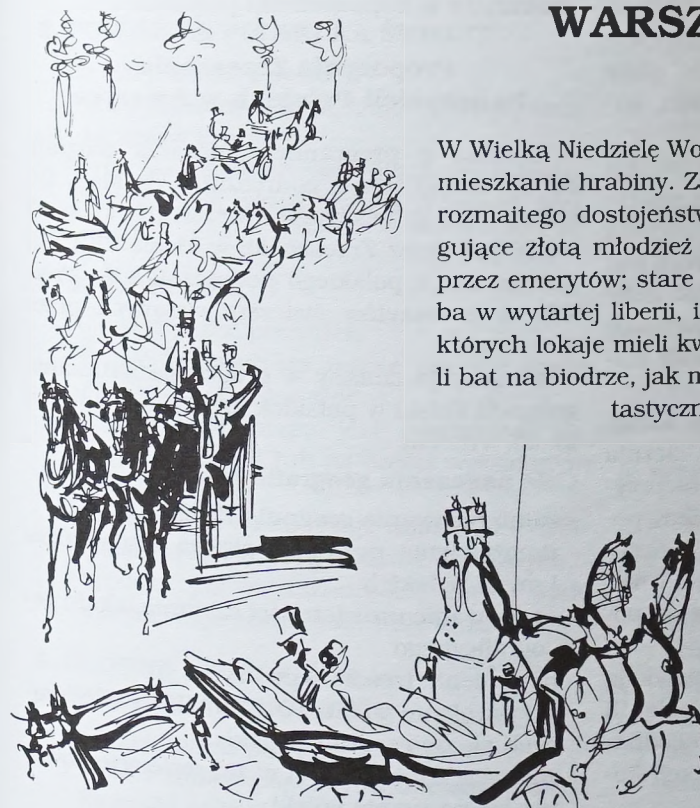
Bolesław Prus

WARSZAWSKIE EKWIPAŻE

Fragment z "Lalki"

W Wielką Niedzielę Wokulski najętym powozem zajechał przed mieszkanie hrabiny. Zastał już długi szereg ekwipażów bardzo rozmaitego dostojenstwa. Były tam eleganckie dorożki obsługujące złotą młodzież i dorożki zwyczajne, wzięte na godziny przez emerytów; stare karety, stare konie, stara uprząż i służba w wytartej liberii, i nowe, prosto z Wiednia powoziki, przy których lokaje mieli kwiaty w butonierkach, a furmani opierali bat na biodrze, jak marszałkowską buławę. Nie brakło i fantastycznych kozaków, odzianych w spodnie tak szerokie, jakby tam właśnie ich panowie umieścili swoją ambicję.

Dostrzegł też mimochodem, że w gronie zebranych woźniców służba wielkich panów zachowywała się w sposób pełen godności, bankierscy chcieli rej wodzić, za co im wymyślano, a dorożkarze byli najrezolutniejsi. Furmani zaś powozów najętych trzymali się blisko siebie, gardzący resztą i przez nią pogardzani.



NAUKA GEOGRAFII W POLSKICH SZKOŁACH SOBOTNICH

OD REDAKCJI: Pani **Alicja Nawara**, geograf, absolwentka Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Krakowie, od kilku lat nauczycielka Polskiej Szkoły im. św. Maksymiliana Kolbego w Chicago, przygotowała projekt zmian w programie nauczania geografii w polskich szkołach sobotnich. Jej artykuł dyskusyjny oraz proponowany program nauczania geografii w klasach VI, VII i VIII zamieszczamy w całości. Zmianom patronuje Zrzeszenie Nauczycieli Polskich w Ameryce. Zwracamy się do nauczycieli z prośbą o analizę projektu i nadsyłanie wszelkich uwag na adres Redakcji GŁOSU NAUCZYCIELA. Wszystkie uwagi będziemy przekazywać Autorce.

DLACZEGO ZREZYGNOWAĆ Z NAUCZANIA GEOGRAFII POLSKI W KL. V?

ARTYKUŁ Dyskusyjny

W polskich programach nauczania geografii Polski zakłada się poznanie typów krajobrazów w klasie IV, przegląd krain geograficznych w klasie VIII. Uczniowie szkoły polonijnej wystarczy poznanie krain geograficznych, gdzie będzie się uczyć o krajobrazie, miastach, gospodarce i atrakcjach turystycznych.

Uczniowie klasy V zaczynają uczyć się dwóch nowych przedmiotów, często są zestresowani, bo nie wszyscy doskonale opanowali technikę czytania i pisanie, a podręcznik jest trudny w odbiorze. Występuje element zniechęcenia, bardzo często uczniowie właśnie w klasie piątej rezygnują z nauki w szkole polskiej.

Podręcznik do geografii używany w klasie V jest nieprzystosowany do potrzeb ucznia szkoły polonijnej, zawiera mnóstwo nieprzydatnych informacji np. skala, podziałka, poziomice itd.

Fotografie w podręczniku są za małe i niedokładne, aby uczeń mógł zapamiętać, a potem rozpoznać dany obiekt.

W młodszych klasach uczniowie spotykają się przecież z geografiami Polski w klasie III (wiersz "Wisła"), w klasie IV "Legenda o Podhalu", kiedy to przy omawianiu takiej lekcji korzysta się z mapy Polski.

Wtedy to właśnie następuje korelacja języka polskiego z geografiami, co powinno stanowić podstawę w nauczaniu polonijnym.

Zmieniło się nastawienie rodziców do polskiej szkoły: wymagają, aby zwrócić większy nacisk na gramatykę i ćwiczenia. Często uczniowie zdając egzaminy z języka polskiego na studia nie potrafią poprawnie napisać rzeczowników w odpowiednim przypadku.

Propozycja Zrzeszenia Nauczycieli Polskich w Ameryce

Zmiana w programie nauczania geografii Polski; rezygnacja z podręcznika do klasy IV; zastąpienie go zeszytem ćwiczeń dla klasy VI wydanym przez Zrzeszenie; w klasie VII i VIII korzystanie z polskiego podręcznika do klasy VIII oraz zeszytów ćwiczeń wydanych przez Zrzeszenie.

Propozycja zmiany w programie nauczania geografii Polski w polskich szkołach sobotnich kl. VI, VII, VIII

Cele nauczania geografii Polski:

- zainteresowanie geografiami Polski
- umożliwienie poznania piękna krajobrazów i miast polskich
- opanowanie umiejętności czytania tekstu geograficznego
- rozumienie treści mapy i rycin
- przyswojenie podstawowych faktów odnoszących się do geografii Polski
- zdobycie umiejętności w zakresie orientowania się na mapie Polski

- systematyczne utwalenie wiadomości
- kształtowanie uczuć patriotycznych, poszanowania dla tradycji narodowych i kulturalnych

- znać i umieć poprawnie napisać pośrednie kierunki
- znać kierunki świata po polsku i ich odpowiedniki po angielsku

W nauczaniu geografii Polski należy przywiązać wielką wagę do korelacji międzyprzedmiotowej z językiem polskim i historią.

KLASA VI

1. WPROWADZENIE DO NAUKI GEOGRAFII POLSKI

Po lekcji uczeń powinien:

- wiedzieć czym zajmuje się geografia
- wiedzieć dlaczego uczy się geografii Polski
- wiedzieć czego będziemy używać na lekcjach
- poznać symbole narodowe

2. POŁOŻENIE POLSKI NA ŚWIECIE

Po lekcji uczeń powinien:

- znać położenie Polski (globus, mapa świata, mapa Europy)
- znać położenie miejsca w którym żyjemy
- wiedzieć jak brzmi, Polska w innych językach

3. MAPA POLSKI

Po lekcji uczeń powinien:

- umieć wskazać na mapie miejsca historyczne (np. dawne stolice)
- wiedzieć, że mapa jest rysunkiem powierzchni ziemi lub jej części wykonanym w skali
- wiedzieć, że rzeki, drogi, miasta przedstawione są za pomocą znaków umownych
- wiedzieć jak są zaznaczone duże i małe miasta, najwyższe góry, linie kolejowe

4. GŁÓWNE I POŚREDNIE KIERUNKI WIDNOKRĘGU

Po lekcji uczeń powinien:

- znać i umieć poprawnie napisać główne kierunki widnokręgu

5. MAPA HIPSOMETRYCZNA POLSKI

Na lekcji uczeń dokładniej zapoznaje się z mapą Polski. Po lekcji uczeń powinien:

- wiedzieć dlaczego na mapie hipsometrycznej są następujące kolory: zielony, żółty, brązowy, oraz wiedzieć co one oznaczają
- wiedzieć co to są niziny
- wiedzieć co to są wyżyny
- wiedzieć co to są góry
- wiedzieć, że na terenie Polski przeważają niziny

6. GŁÓWNA RZĘKA POLSKI - WISŁA

Po lekcji uczeń powinien:

- wiedzieć, że rzeka ma bieg górny, środkowy i dolny
- znać i umieć wskazać na mapie Polski Wisłę i jej dopływy: Sołę, Rabę, Dunajec, San, Wieprz, Narew z Bugiem, Nidę, Pilicę, Bzurę, Brdę
- znać i umieć wskazać na mapie główne miasta leżące nad Wisłą.

7. RZĘKA Odra

Po lekcji uczeń powinien:

- umieć wskazać na mapie Polski Odrę i jej dopływy: Wartę, Małą Panew, Barycz, Nysę Łużycką.
- znać i umieć pokazać na mapie główne miasta leżące nad Odrą

8. WĘDRÓWKA PO POLSKICH MIASTACH

Po lekcji uczeń powinien:

- znać nazwy najważniejszych miast polskich
- umieć wskazywać na konturowej mapie Polski poszczególne miasta
- jako pracę domową wykonać projekt - opis danego miasta (zabytki, znaczenie dla Polski, zdjęcia)
- umieć połączyć nazwę miasta z wydarzeniem historycznym

9. ORIENTACJA NA PLANIE

Po lekcji uczeń powinien:

- wiedzieć, że plan miasta jest rysunkiem tego miasta widzianego z góry
- wiedzieć, że plany dużych obiektów, domów, ulic, miast rysujemy w skali
- wiedzieć, że skala wskazuje, ile razy odległość na planie została pomniejszona od odległości w terenie.
- umieć wskazywać różnice między planem Chicago a planem miasta Gdyni
- umieć odnaleźć na planie Chicago i na planie Gdyni ulice Pułaskiego

10. W STOLICY POLSKI - WARSZAWIE

Po lekcji uczeń powinien:

- umieć wskazać na mapie stolicę Polski - Warszawę
- umieć wymienić główne funkcje miasta
- znać historię miasta
- umieć wymienić i rozpoznać na zdjęciach kilka zabytków
- samodzielnie zaprezentować wybrany zabytek

11. W ZABYTKOWYM KRAKOWIE

Po lekcji uczeń powinien:

- wiedzieć, że Kraków to dawna stolica Polski
- umieć posługiwać się planem miasta
- umieć wymienić i rozpoznać na zdjęciach kilka zabytków
- samodzielnie zaprezentować wybrany zabytek

12. NAD POLSKIM MORZEM

Po lekcji uczeń powinien:

- umieć wskazać na mapie Morze Bałtyckie, Zatokę Gdańską, półwysep Hel; wyspy: Wolin, Uznam; miasta: Szczecin, Gdańsk, Gdynię i inne miejscowości
- znać atrakcje turystyczne nad polskim morzem
- znać znaczenie morza dla kraju

13. W POLSKICH GÓRACH

Po lekcji uczeń powinien:

- umieć wskazać na mapie Polski - Tatry
- wiedzieć co jest cechą krajobrazu gór wysokich (duże różnice wysokości, wysokie pozbawione roślinności wierzchołki gór o stromych skalistych stokach)
- umieć opisać dwie cechy pogody w Tatrach
- wiedzieć, że roślinność w Tatrach zmienia się wraz z wysokością
- umieć wskazać na mapie miasto Zakopane
- wiedzieć, dlaczego turyści przyjeżdżają do Zakopanego
- wiedzieć, kto to są górale

14. PREZENTACJA CIEKAWEGO ZDJĘCIA Z POLSKI

Po lekcji uczeń powinien:

- przedstawić projekt czyli zaprezentować swoje zdjęcie z Polski (opisać gdzie, kiedy, przez kogo zostało zrobione, opisać krótką historię tego zdjęcia)
- jeśli uczeń nie posiada swojego zdjęcia powinien zaprezentować zdjęcie kogoś z rodziny

KLASA VII**1. POŁOŻENIE POLSKI W EUROPIE, GRANICE I SĄSIEDZI**

Po lekcji uczeń powinien:

- umieć wskazać Polskę na mapie Europy oraz świata
- znać i umieć pokazać na mapie państwa sąsiadujące z Polską
- umieć pokazać granice naturalne i sztuczne
- znać korzyści i zagrożenia, jakie mogą wynikać z położenia Polski w tym miejscu Europy

2. PRZESZŁOŚĆ GEOLOGICZNA OBSZARU POLSKI

Po lekcji uczeń powinien:

- wiedzieć czym zajmuje się geologia
- rozumieć znaczenie terminów i umieć po-

7. GLEBY, ROŚLINNOŚĆ, ZWIERZĘTA, OCHRONA ŚRODOWISKA

Po lekcji uczeń powinien:

- wiedzieć co to jest gleba
- wiedzieć, że w Polsce przeważają gleby słabo urodzajne (o małej żyzności) biellicowe i brunatne
- umieć wskazać, gdzie występują gleby urodzajne (Ziemia Pyrzycka, Żuławy, Kujawy, Wyżyna Lubelska, Nizina Śląska)
- znać rodzaje lasów (grąd, bór, łąg)
- potrafić wskazać na mapie kilka puszczy
- wiedzieć, czym zajmuje się ochrona środowiska
- umieć wskazać kilka parków narodowych

8. MORZE BAŁTYCKIE

Po lekcji uczeń powinien:

- umieć wskazać na mapie Morze Bałtyckie
- znać kilka państw, które też leżą na Bałtykiem
- umieć poprawnie przeczytać nazwy cieśnin, zatok, wysp
- znać cechy Bałtyku
- znać zasolenie Bałtyku (7% niski wskaźnik, bo przeciętna 35%)
- znać źródła zanieczyszczenia Bałtyku

9. PODZIAŁ ADMINISTRACYJNY POLSKI

Po lekcji uczeń powinien:

- umieć prawidłowo przeczytać nazwy województw
- znać administracyjny podział Polski
- wiedzieć, że województwa dzielą się na powiaty a te na gminy

10. LUDNOŚĆ POLSKI

Po lekcji uczeń powinien:

- znać liczbę ludności Polski
- znać przyczyny zmiany liczby ludności w przekroju historycznym
- znać rozmieszczenie liczby ludności i obszary różnej gęstości zaludnienia
- znać i umieć wskazać na mapie największe miasta Polski
- znać strukturę narodowościową

- wiedzieć co to jest erą paleozoiczna, mezozoiczna, kenozoiczna
- wiedzieć kiedy powstał węgiel kamienny, brunatny, sól, wapień
- wiedzieć co to jest lodowód
- znać przyczyny, które wpłynęły na ukształtowanie i rzeźbę terytorium Polski

3. UKSZTAŁTOWANIE PIONOWE - PASOWY UKŁAD RZEŻBY

Po lekcji uczeń powinien:

- wiedzieć, że Polska jest krajem nizinnym
- wiedzieć, że teren Polski pochyla się z południa ku północnemu-zachodowi
- wiedzieć, że występują pasy wzniesień i obniżen
- umieć wskazać na mapie jak przebiegają poszczególne pasy

4. SUROWCE MINERALNE POLSKI

Po lekcji uczeń powinien:

- wiedzieć, że Polska należy do krajów zasobnych w surowce
- umieć wskazać na mapie obszary wydobycia najważniejszych surowców takich jak: węgiel kamienny, brunatny, ruda miedzi, ruda cynku i ołowiu, sól kamienna, siarka
- znać te nazwy po angielsku

5. KLIMAT POLSKI

Po lekcji uczeń powinien:

- wiedzieć jakie masy powietrza wpływają na klimat Polski
- wiedzieć, dlaczego ten klimat nazywamy przejściowym
- wiedzieć, że w Polsce występuje sześć pór roku
- wiedzieć, jakie wiatry dominują w Polsce
- znać przestrzenny rozkład opadów

6. WODY POWIERZCHNIOWE POLSKI

Po lekcji uczeń powinien:

- znać główne rzeki Polski
- wiedzieć, że charakteryzują się one asymetrią dorzeczy
- wiedzieć, kiedy są najwyższe stany wód
- znać rodzaje jezior

- poznać umiejętność czytania danych liczbowych, wykresów

11. OKRĘGI PRZEMYSŁOWE POLSKI

Po lekcji uczeń powinien:

- znać główne okręgi przemysłowe i ich krótką charakterystykę
- wiedzieć, gdzie najlepiej rozwinął się przemysł
- wiedzieć jaka jest obecna sytuacja polskiego przemysłu

12. ROLNICTWO POLSKIE

Po lekcji uczeń powinien:

- wiedzieć, że przyrodnicze warunki rozwoju rolnictwa w Polsce w porównaniu z innymi krajami są korzystne
- wiedzieć, że najczęściej uprawia się pszenicę, żyta, ziemniaków
- wiedzieć czym zajmuje się hodowla
- wiedzieć czym zajmuje się przemysł spożywczy

13. PREZENTACJA

WYBRANEGO FILMU O POLSCE

KLASA VIII

WĘDRÓWKI PO POLSCE

Przegląd krain geograficznych

1. Północno-wschodnie
2. Pojezierza polskie
3. Niziny środkowopolskie
4. Wyżyny polskie
5. Kotliny Podkarpackie
6. Sudety i Przedgórze Sudeckie
- 7-8. Karpaty
9. Turystyka - główne obszary turystyczne, ważniejsze zabytki, baza turystyczna
10. Polska w świecie i w Europie
11. Polacy poza granicami Polski

PRZEGLĄD KRAIN GEOGRAFICZNYCH

Wszystkie lekcje dotyczące przeglądu krain geograficznych powinny mieć podobny przebieg.

1. Nazwy krain wchodzące w skład danego pasa
2. Jeziora i rzeki jakie przepływają przez ten pas
3. Bogactwa naturalne
4. Parki narodowe
5. Główne miasta i ich funkcje
6. Ważne wydarzenia historyczne lub inne ciekawostki

Dobrym rozwiązaniem jest korzystanie z map konturowych poszczególnych pasów Polski. Uczniowie wtedy sami będą mogli nanieść nazwy krain, rzek, miast itp. Uczniowie winni być informowani wcześniej, o czym będą kolejne lekcje geografii. Będą mogli wtedy przynieść widokówki, albumy, foldery oraz własne zdjęcia z danej krainy. Wszystkie te materiały mogą spełnić rolę wartościowego materiału ilustrującego daną krainę. Ważny jest też stosunek emocjonalny ucznia... byłem tam... widziałem to... itp. Lekcje powinny być wzbogacone filmami przedstawiającymi daną krainę lub miasto.

W nauczaniu geografii Polski ważną rolę odgrywają filmy przedstawiające krainy i miasta polskie. Na rynku polonijnym mamy dość mały wybór takich filmów, ale z roku na rok sytuacja się poprawia. Sprawą dyskusyjną jest czy pokazywać te filmy w wersji angielskiej czy polskiej.

Zadaniem nauczyciela jest nie tylko wytyczenie stosownego filmu, ale także (może przede wszystkim) zorganizowanie uczniom jego obserwacji. Nauczyciel musi wybrać odpowiedni fragment filmu związany z daną lekcją. Doskonałą lekcją powtórzeniową jest pokazanie tego filmu w całości.

Nie wystarczy powiedzieć uczniom, że mają obejrzeć film. Należy postawić im konkretne zadania: co mają dostrzegać, na czym skoncentrować swoją uwagę. A po projekcji rozliczyć ich z wykonania zadania. Sformułowanie racjonalnych zadań jest możliwe wtedy, gdy nauczyciel zna dobór i układ treści w poszczególnych sekwencjach filmu.

ALA, AS I MY

Elementarz Mariana Falskiego to największy hit wydawniczy w Polsce. Przebił nawet Sienkiewicza.



Od 1910 roku do dziś **Elementarz** Mariana Falskiego miał prawie 80 wydań w różnych wersjach, o łącznej sumie ponad 17 mln egzemplarzy. Chociaż powoli wychodzi z użycia, wciąż jest wznawiany. W tym roku zaczął się z niego uczyć dziewięćdziesiąty rocznik uczniów.

Na czym polega fenomen tej książki, którą zna prawie każdy Polak urodzony w tym stuleciu? Czy na świetnym opracowaniu literackim, opartym na wierszach Tuwima, Fredry i Słomimskiego? Czy na społecznym zaangażowaniu autora, który w każdej epoce, czy była to Polska międzywojenna czy PRL (Polska Rzeczpospolita Ludowa), uczył patriotyzmu, szacunku dla pracy i tolerancji dla innych narodów? Czy wreszcie na rewolucyjnej metodzie nauki czytania, zrywającej z przeklętym sylabizowaniem, które męczyło jeszcze Stefana Żeromskiego? Jedno jest pewne, gdy w 1909 roku Marian Falski przygotowywał swój pierwszy podręcznik, nie przypuszczał, że pisze bestseller. Kiedy po pierwszej wojnie światowej ukazała się nowa wersja **Elementarza**, ze zdziwieniem odkrył, że książka zaczyna przynosić mu spore dochody.

Ala i As na emigracji

Człowiek, który nauczył współczesnych Polaków czytać i pisać, nie był z wykształcenia na-

uczycielem, ale inżynierem. Urodził się w 1881 roku na kresach w rodzinie ziemiańskiej, w której ceniono realne wykształcenie. W 1904 roku ukończył Politechnikę Warszawską. Większą część życia spędził za biurkiem w Ministerstwie Wyznań Religijnych i Oświaty, gdzie zajmował się statystyką.

Historia pierwszego **Elementarza** ma zgoła sensacyjny charakter. Do jego powstania przyczyniła się carska policja polityczna, która w 1906 roku aresztowała Falskiego, wówczas związanego z PPS-em (Polska Partia Socjalistyczna) działacza warszawskiej lewicy, za agitację wśród robotników i zmusiła do emigracji. Falski wyjechał do Krakowa, gdzie zatrudnił się na Uniwersytecie Jagiellońskim w Katedrze Pedagogiki. Przez krótki czas prowadził także lekcje w szkole powszechnej. Zauważył wtedy, że tradycyjny system nauki czytania i pisania, polegający na rozpoznawaniu liter i sylab, a następnie w składaniu ich w słowa, nie sprawdza się. Opracował nowy system, oparty na nauce całych wyrazów. Zaprzyjaźniona nauczycielka wypróbowała go na przełomie roku 1909 i 1910 z dziećmi jednej z krakowskich szkół. Efektem była wydana w 1910 roku **Nauka czytania i pisania dla dzieci**, luksusowa jak na tamte czasy książka z kolorowymi, modernistycznymi ilustracjami Jana Rembowskiego. W niej po raz pierwszy pojawiła się Ala (czyli Alina, jak wyjaśniał we wskazówkach dla nauczyciela Falski) oraz jej pies As - para bohaterów, która na stałe weszła do literatury i potocznego języka.

Fara czy Ala

Po pierwszej wojnie światowej Falski wrócił do Warszawy i opracował na zamówienie wydawnictwa Książnica-Atlas nową wersję podręcznika. Do współpracy zaprosił młodego poetę Juliana Tuwima, postanowił bowiem uczyć czytania i pisania na literaturze pięknej. Tuwim żartował, że nic lepszego nie potrafi ułożyć niż "to kura i to kura, a ta kura daje nura", ale w końcu dostarczył kilka wierszyków, które miały wejść na stałe do literatury: "Abecadło", "Tańcowały dwa Michały", "Rzeczka", "Wszyscy dla wszystkich". W **Elementarzu** znalazły się

też wiersze Fredry ("Paweł i Gawel") i Antoniego Słonimskiego ("Zegar na wieży").

Elementarz Falskiego nie tylko uczył pisać i czytać. Oswajał dziecko ze światem, tłumaczył, na czym polega nowoczesne społeczeństwo, uczył symboli narodowych. Dużo miejsca Falski, inżynier z wykształcenia, poświęcił technice. Ojcowie bohaterów Ali i Oli pracują w tej samej branży, którą studiował autor: jeden jest kreślaczem, drugiego widzimy przy obrabiarce.

Nowy **Elementarz** z rysunkami Kamila Mackiewicza, wydany w 1920 roku, dostał wysokie oceny od pedagogów, ale wywołał oburzenie prawicy, która zarzuciła Falskiemu pominięcie tematyki religijnej. W używanych wcześniej elementarzach pierwszym słowem, którego uczyły się dzieci, było słowo "ojciec", następnymi: "fara, ksiądz i Bóg". Falski ze swoją Alą, Olą, Asem i lisem musiał budzić nieufność. Nie poddał się jednak naciskom i zachował neutralny charakter podręcznika, co miało wielkie znaczenie w wielonarodowej i wieloreligijnej Polsce.

Abecadło w okopach

W pierwszych latach niepodległości Falski opracował także wersje **Elementarza** dla dorosłych. W **Elementarzu powiastkowym dla żołnierzy** (1921) zamiast wierszyków Tuwima pojawiły się żołnierskie piosenki o ułanach i rycarzach ("Ułan ci to ułan, konik pod nim płasza"), słownictwo z ogródka i klasy szkolnej zostało zastąpione słownictwem wojenno-męskim



(pułk, gospoda, palić, saper, urlop). Na obrazkach miejsce siedmiolatków zajęli podkreślający węża kaprale i galopująca konnica. O charakterze tego podręcznika może zaświadczyć jedna z pierwszych czytanek, wprowadzająca słowo "list": "To są okopy. Tu jest Tomek. Tomek ma list. To list od Julki. Julka jest daleko, a tu leżą kule. To ci los".

Obok wojennej rzeczywistości, odwołującej się do niedawnej wojny polsko-sowieckiej, podręcznik przedstawiał także życie w cywilu. Dorosli czytali o chłopcach z Podhala - Emilu i Adamie, poznawali również komiczną parę robotników z huty żelaza: Pawła i Gawła, którzy - jak w Fredrowskim wierszu - nie mogli nigdy dojść do porozumienia. Falski uczył też elementów nowej demokracji. Jedna z czytanek, przedstawiająca wybory wójta w gminie, kończy się przestroga: "Jak byle kogo wybiorą - to będą mieli biedę".

Druga wojna światowa nie przerwała kariery **Elementarza**. Władze niemieckie nie dopuściły go do użytku w szkołach, ale używany był na tajnych kompletach. Przedruki wyszły na emigracji, m.in. w Jerozolimie i Wielkiej Brytanii, w wydawnictwie II Korpusu. Pierwsze powojenne wydanie, pozbawione kolorowych ilustracji, było chyba najbardziej przygnębiającą wersją podręcznika. Kończył go, tak jak poprzednie, wiersz o Warszawie z adnotacją autora: "Dziś tej Warszawy już nie ma. Została spalona, zburzona. Ale Warszawa się odbuduje. I Warszawa, tak jak była, tak jest i będzie stolicą Polski".

Bucików nam brak

Powojenne **Elementarze** ilustrują kolejne etapy rozwoju Polski. W latach 40. mama Łata kożuszek Janka, Ala jest dumna z mufki, którą sama własnoręcznie uszyła z futra królika. Na lodowisko rodzeństwo wybiera się z jedną parą łyżew. "Ale to nic. Bo i tak pojadą. Każde włoży jedną łyżwę" - tak rozwiązuje problem autor czytanek. **Elementarz** z tych lat ma przekonać dziecko, że nie tylko w jego domu panuje bieda. Nie przelewa się różnie u bohaterów książeczki. U Ali na obiad są zwykle zacierki, Piotrek piecze w piecu kartofle, Zosia pierze białą szarym mydłem.

Ale są też bardziej optymistyczne sygnały: dzieci chodzą do kina, słuchają w domu radia, jeżdżą na wycieczki tramwajem. W roku 1949 Ala i Janek z rodzicami mieszkają już w odbudowanej Warszawie, przy ulicy Prostej 8. Zakupy robią już nie w małym sklepiku wiejskim "Samopomocy", ale w dużym domu towarowym. Zaczynają się jednak przejściowe trudności w zaopatrzeniu. Olek z mamą daremnie chodzi do PDT (Powszechny Dom Towarowy), aby kupić buty. "Bucików tego numeru nam brak. Ale na pewno będą w sobotę" - mówi uśmiechnięta sprzedawczyni i zamiast butów proponuje na pocieszenie piłkę. Problemy z zaopatrzeniem rozwiązano dopiero w roku 1974. W mieszkaniu Ali pojawia się meblościanka i telewizor, a w kiosku Ruchu jest pełno zabawek.

Nie uchronił Falski **Elementarza** przed polityką, choć ideologiczne wtręty są niewinne, jak sama książka. W latach 50. Janek spotyka się z pionierami ("To są radzieccy pionierzy.

Wielu mówi zupełnie innymi językami. Ale jak się poznamy i ze sobą pobawimy, na pewno się zaprzyjaźnimy"). Ala chodzi na pochody pierwszomajowe, buduje się Nowa Huta, w której pracuje "i tato Jacka, i brat Felki, i mama Celi, i wujek Helki". Wydanie z 1949 roku kończy czytanką o najwyższych władzach państwowych: "Dzieci znają imię i nazwisko prezydenta. Zapytajcie, a zawołają: prezydent Bolesław Bierut".

Ostatni Elementarz

Socjalizm, w który Falski wierzył w młodości, kiedy w 1905 roku agitował robotników na warszawskiej Pradze, pół wieku później odebrał mu możliwość pracy. W 1950 roku zlikwidowano biuro badań statystycznych w Ministerstwie Oświaty, które Falski prowadził od 1919 roku, a jego samego wysłano na emeryturę. Autor **Elementarza** pracował jeszcze w Polskiej Akademii Nauk, brał udział w dyskusji o reformie systemu oświaty, sprzeciwiał się skróceniu nauki do jedenastu klas. Na początku lat 70. zmarła jego żona Irena, która była współautorką i pierwszym recenzentem **Elementarza**. Przed śmiercią Falski przygotowywał nowe wydanie podręcznika z ilustracjami Janusza Grabiańskiego. Zmarł w 1974 roku, nie doczekawszy jego wydania.

Roman Pawłowski

Wykorzystałem książkę Ryszarda Wroczyńskiego "Marian Falski i reformy szkolne w Rzeczypospolitej", Warszawa 1988.

GAZETA WYBORCZA, 9 października 1999



POLISH TEACHERS ASSOCIATION IN AMERICA, INC.
ZRZESZENIE NAUCZYCIELI POLSKICH W AMERYCE

6005 W. Irving Park Rd., Chicago, IL 60634
 Tel./Fax 773-777-7150

CENNIK PODRĘCZNIKÓW SZKOLNYCH I POMOCY NAUKOWYCH

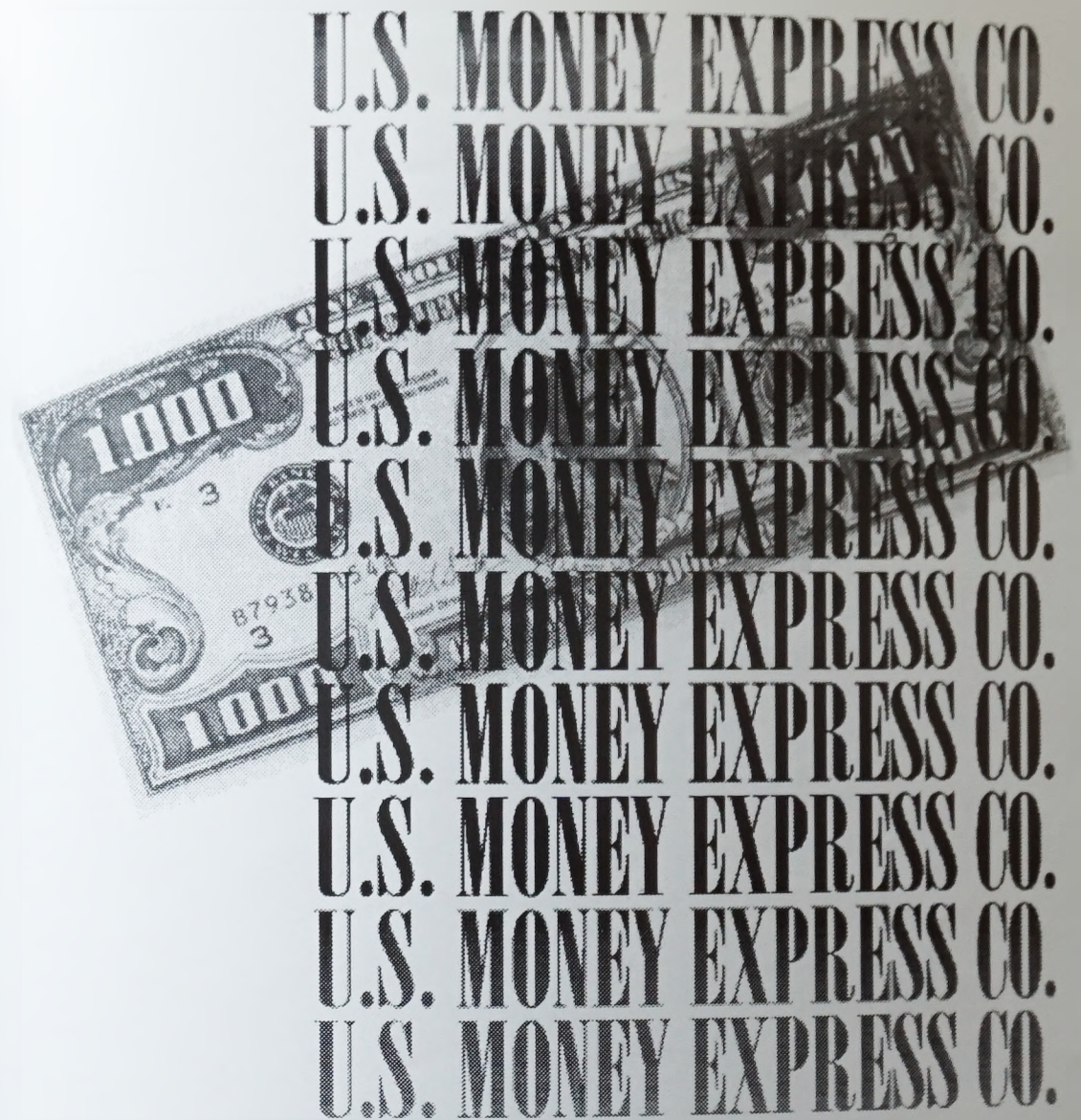
Obowiązuje od 1 września 1999

Zamówienia kierować na powyższy adres. Zwrotów nie przyjmujemy.
 Cena wysyłki: 10% zamówienia, ale nie mniej niż \$4.25
 Tel. domowy kolportera: 1-708-456-6117

KLASA	AUTOR	TYTUŁ	CENA	
PRZEDSZKOLE	Przyłubscy	Mam 6 lat	4.25	
	Przyłubscy	Mam 6 lat - ćwiczenia	5.00	
	Ł. Grodzicka	ABC sześciolatka cz. I		
		Przygotowanie do czytania	4.00	
		ABC sześciolatka cz. II		
		Przygotowanie do pisania cz. I	4.00	
		Przygotowanie do pisania cz. II	4.00	
	H. Freń	Zeszyt sześciolatka. Cyferki	3.00	
	H. Freń	Zeszyt sześciolatka. Literki	3.00	
	Tokarczykowie	Piszę litery od A do Z	3.00	
KLASA I	M. Falski	Ćwiczenia elementarowe, cz. I, cz. II (każda)	2.00	
		Ćwiczenia element., druk i wycinanki - komplet	2.00	
	Zrzeszenie	Zeszyt do klasy I, II, III	0.75	
		ABC - alfabet ruchomy	1.00	
Lektury:	Tuwim	Lokomotywa	3.00	
KLASA II	Kowalczewska	Ćwiczenia gramatyczne i ortograficzne, kl. II	2.00	
	Dobrowolska	Moja pierwsza czytanka	5.00	
	Łukasik	Moje pierwsze ćwiczenia	4.00	
	Łukasik	Scenariusze lekcji j. polskiego do w/w podręczników (poradnik metodyczny dla nauczyciela i ucznia)	4.00	
KLASA III	Podowska	Porachunki z gramatyką, ortografią, fonetyką	5.50	
	Kowaliszyn	Krajobraz z uśmiechem, czytanka dla kl. III	6.50	
	Kowaliszyn	Krajobraz z uśmiechem, ćwiczenia z j. polskiego zeszyt 1, zeszyt 2 (każdy)	3.00	
	Jasińska	Przewodnik metodyczny do <i>Krajobrazu z uśmiechem</i>	6.00	
	Lektury:	Konopnicka	Na jagody	4.00
KLASA IV	Kowalczewska	Język polski dla kl. IV i V	5.00	
	Dobrowolska	Podajmy sobie ręce, czytanka dla kl. IV	7.50	
	Dobrowolska	Podajmy sobie ręce (pomoc dla nauczyciela)		
		Zeszyt 1, zeszyt 2 (każdy)	3.00	
	Łukasik	Scenariusz lekcji języka polskiego (przewodnik metodyczny do <i>Podajmy sobie ręce</i>)	6.00	
	Łukasik i Petkowicz	Kształcenie językowe (ćwiczenia do <i>Podajmy sobie ręce</i>) część I, część II (każda)	4.25	
	Lektury:	Duszyńska	Cudaczek wyśmiewaczek	5.00

KLASA	AUTOR	TYTUŁ	CENA	
KLASA V	Zrzeszenie	Ukochany kraj - Czytanka dla kl. V	6.00	
	Dobrowolska	Jutro pójdę w świat (czytanka)	8.00	
	Dobrowolska	Jutro pójdę w świat (zeszyt ćwiczeń)	4.25	
	Marciniak	Historia Polski dla Piotrka (od kl. V-VIII)	15.00	
	PIW	Słownik szkolny. Ortografia	9.00	
	Kędziółka	Geografia (do użytku w kl. V i VI)	6.00	
	Mordawski	Ćwiczenia geograficzne (V-VI)	3.50	
KLASA VI	Zrzeszenie	Czytanka dla kl. VI	10.00	
	Nagajowa	Słowo za słowem (czytanka)	8.00	
	Nagajowa	Zeszyt ćwiczeń do czytanki	4.25	
	Nagajowa	Jak uczyć języka polskiego, poradnik metodyczny do <i>Słowo za słowem</i> , <i>Słowa zwykłe i niezwykłe</i> , oraz <i>Słowa i świat</i>	6.00	
	Jaworski	Język ojczysty dla kl. VI i VII		
		Ćwiczenia gramatyczne i ortograficzne	5.00	
	Lektury:	Sienkiewicz	Janko muzykant	3.00
KLASA VII	Zrzeszenie	Ziemia od innych droższa, czyt. VII	8.00	
	Nagajowa	Słowa zwykłe i niezwykłe	8.00	
	Nagajowa	Zeszyt ćwiczeń	4.25	
	Licińska	Geografia (VII-VIII)	7.00	
	Mordawski	Ćwiczenia geograficzne (VII-VIII)	3.50	
	Lektury:	Sienkiewicz	Komedia pomyłek	2.00
	Żeromski	Siłaczka	2.00	
Sienkiewicz	Latarnik	3.00		
KLASA VIII	M. Jędrychowska i Z. A. Kłakówna	To lubię. Klasa VIII. Teksty i zadania	9.00	
	Halina Mrazek i Marta Propraś	To lubię. Klasa VIII. Ćwiczenia językowe	5.00	
	Nagajowa	Słowa i świat, czytanka	8.00	
	Nagajowa	Ćwiczenia do czytanki	4.25	
	Zakrzewska	PAN TADEUSZ, opracowanie metodyczne dla nauczycieli	7.00	
	Zakrzewska	PAN TADEUSZ, opracowanie dla uczniów	7.00	
	Państwowy Instytut Wyd.	Dzieje Polski (nagroda dla absolwentów)	12.00	
GIMNAZJUM	Adamczyk	Starożytność - Oświecenie	8.00	
	Makowski	Romantyzm	8.00	
	Bujnicki	Pozytywizm	8.00	
	Weiss	Młoda Polska	8.00	
	Matuszewski	Literatura polska lat 1918-1939	8.00	
	Wroczyński	Literatura polska po 1939 roku	8.00	
	Lektury szkoły średniej - opracowania:	Od Starożytności do Oświecenia		
		Romantyzm, Pozytywizm, Młoda Polska		
		20-lecie międzywojenne,		
		Literatura współczesna (każdy)	6.00	

KLASA	AUTOR	TYTUŁ	CENA	
GIMNAZJUM - cd	Scenariusze	Scenariusz lekcji języka polskiego dla szkoły średniej: klasa I, II, III, IV (każdy)	6.00	
	Lektury:	Kryda	Krajobraz poezji polskiej, antologia	7.00
		Orzeszkowa	ABC	3.00
		Orzeszkowa	Dobra pani	3.00
		Prus	Katarynka	3.00
		Prus	Antek	3.00
		Prus	Z legend dawnego Egiptu	3.00
		Konopnicka	Dym	3.00
		Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne Nałkowska	Kronika XX wieku (nagroda dla maturzystów) Medaliony	35.00 3.00
	KLASY POLSKO-ANGIELSKIE	Zrzeszenie	Polska mowa, część I (miękka okładka)	6.50
Polska mowa, część II (miękka okładka)			7.50	
Polska mowa, część I (6 kaset)			35.00	
Polska mowa, część I (twarda okładka)			10.00	
Polska mowa, część II (twarda okładka)			10.00	
(komiksy-comics)		Wskazówki metodyczne do Polskiej mowy cz. I	1.50	
		Wskazówki metodyczne do Polskiej mowy cz. II	1.50	
		Smok wawelski i królowa Wanda	2.00	
		O Popielu i myszach	2.00	
		O Piaście Kołodzieju	2.00	
Iwanicka	A thousand years of Polish heritage, 966-1966	2.00		
POMOCE NAUKOWE	Mapy Polski	Mapa Polski administracyjna ścienna ze skorowidzem	32.00	
		Mapa Polski gospodarcza, ścienna	38.00	
		Mapa Polski administracyjna, ścienna	31.00	
		Polska w okresie rozbiorów, ścienna	28.00	
		Mapa Polski fizyczno-administracyjna	3.50	
		Mapa. Story of Poland	3.50	
		Atlas geograficzny	6.00	
		Atlas historyczny	6.00	
		Zrzeszenie	Dziennik lekcyjny + Księga ocen	6.00
			Świadectwo szkolne od kl. I-VII	0.50
	Świadectwo ukończenia VIII kl.		0.50	
	Świadectwo gimnazjum		0.50	
	Maria Zamora	Świadectwo ukończenia gimnazjum	0.50	
		Zaświadczenia dla przedszkoli	0.25	
		Kwiaty dla mamy (zbiorek poezji)	8.00	
		Tragedia Katyńska (video)	25.00	



PRZESYŁKI PIENIĘŻNE DO POLSKI
TANIO, SZYBKO I BEZPIECZNIE

U.S. MONEY EXPRESS CO.

3105 N. MILWAUKEE AVE., CHICAGO IL 60618, tel. (773) 267-2962
585 DIVISION STREET, ELIZABETH NJ 07201, tel. (908) 352-9555

